

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 11638



BC KSK / 11638

278

DYMITR MEREŻKOWSKI
NARODZINY BOGÓW

AURELJI WYLEŻYŃSKIEJ :

U ŻŁOTYCH WRÓT, powieść 1920.

MARJA LESZCZYŃSKA NA DWORZE WERSALSKIM. 1922.

NIESPODZIANKI, powieść, nagrodzona na konkursie im. Zapolskiej 1923.

KSIĘGA UDRĘKI, powieść, 1920.

w druku:

LA POÉSIE POLONAISE D' APRÈS GUERRE.

PAMIĘTNIKI WŁADYSŁAWA MICKIEWICZA, przekład z francuskiego ze S. P. KOCZOWSKIM.

w przygotowaniu :

CZARODZIEJSKIE MIASTO, powieść.

DYMITR MEREŻKOWSKI

NARODZINY BOGÓW

TUTANKHAMON NA KRECIE

Z ROSYJSKIEGO ORYGINAŁU

ZA ZEZWOLENIEM AUTORA

PRZEŁOŻYŁA

AURELJA WYLEŻYŃSKA.

WYDAWNICTWO „GLOBUS“ WE LWOWIE

OKŁADKA Z ORYGINALNEGO DRZEWORYTU
T. MAKOWSKIEGO.



882-3

11638

Poezje znajdujące się Tutankhamonie przełożył na
moją prośbę Jarosław Iwaszkiewicz, za miłą uprzejmość
koleżeńską składam Mu podziękowanie.

W czasie przekładu posiłkowałam się pracą ks.
Dr. W. Szczepańskiego „Egea i Hatti”, doskonały atlas
ustrzegł mnie od niejednego błędu.

Pomocną mi też była „Mitologja” i „Eros na
„Olimpie” J. Parandowskiego.

A. W.

MATKA BOGÓW

I.

— „Ojciec jest miłością“ A b v a d. A b — ojciec, vad — miłość. Oto co jest napisane na tym talizmanie.

— A cóż to znaczy „Ojciec jest miłością“?

— Nie wiem. Od czasu gdy mi matka na szyi zawiesiła ten talizman, nigdy go nie zdjąłem i całe życie mną się opiekował. I to on przed chwilą wybawił mnie od zwierza. Gdy dzik wypadłszy z trzciny obalił mnie na ziemię, chwyciłem za nóż, ale pochwa była pusta. Leżałem pod brzuchem potwora, słyszałem pomruki a kły jego szukały mego gardła, na szczęście złapał za nisko, ponad obojczykiem, trochę wyżej a byłby już koniec. Przypomniałem sobie wówczas o talizmanie, szukam go na piersi, szepcząc: A b v a d, a właśnie drugą ręką, wśród trawy, napotkałem nóż. Wyśliznął się w czasie upadku. Podnoszę się i po-grążyłem ostrze aż po rękojeść, w brzuchu zwierza.

— Jesteśmy ocaleni. Ty dzięki talizmanowi, ja dzięki tobie.

— Wcale nie myślałem o tobie... A jeśli się nawet ocaliłem, cóż przez to zyskałem? Bo my, kupcy myślimy tylko o zysku.

— Poczekajże kupcze, może coś na tem zyskasz.

Nie widział jej twarzy, ale po głosie poznał, że się uśmiecha a serce jego zadrżało ze szczęścia, jakkolwiek wiedział, że szczęścia nie będzie.

Tammuzadad, Babilończyk, syn Istarramana i Dio, Kretenka, córka Aridoela wracali lesistą drogą przez górę Ida, do Knossos, stolicy wyspy Kreta. Drogę dwie koleiny wyłobione w czerwonej glinie, nakreśliły skrzypiące koła wozów drwali, którzy zwozili z gór do przystani, na maszty, sosny i cedry.

Tammuzadad i Dio wracali z polowania na byki. Przypadkiem wypłoszyli dzika. Wystraszony widokiem rozbieganych psów rzucił się na nich. Na cześć Minotaura obchodzono na arenie w Knossos święte tauromachje. Każdej wiosny łowcy i łowczynie szli na góry szukać dzikich byków. Tam na miodowoniejących łąkach, przy chłodnym szumie lodowych potoków — żyły te nieposkromione zwierzęta o szerokich czołach, olbrzymich rogach, cudownie piękne, pierwotne dzieci stworzenia, boscy synowie Ziemi-Matki. Łapano je, jak ptaki w olbrzymiej sieci, splecione z potężnych sznurów, rozsnute między drzewami.

Już w dolinach kwitła wiosna, ale tu w górach była jeszcze zima. Od ośnieżonej Idy dął wiatr lodowaty. Chmury płynęły tak nisko, że zdawały się zahaczać o wierzchołki drzew, płatki mokrego śniegu mieszały się z deszczem. Wieczór zapadał.

Ale w zmierzchu zimowym już oddychało się wiosną. Ze stosu zwiędłych liści wychylały się konwalje, fijołki kwitły wśród mchu, kukułka kukała płacząc ze szczęścia, jakkolwiek i ona wiedziała, że szczęścia być nie może.

— Tak, talizman ocalił mnie od wszystkiego złego, — zaczął znów Tammuzadad, — od ognia, żelaza, trucizny, dzikich zwierząt, od wszystkiego, tylko nie od jednego...

— Tylko nie?... spytała.

Nie odpowiedział, ale ona zrozumiała: „Nie od ciebie“.

Oboje byli owinięci w skóry dzikich zwierząt; on w rdzawe runo lwa, którego paszcza służyła mu za hełm, ona miała na sobie skórę wilka, a na głowie kołpaczek z tchórza. Oboje trzymali w ręku włócznie myśliwskie, a na plecach łuki i sajdaki. Trudno było odróżnić mężczyznę od kobiety.

Odrzucając w tył paszczę lwa, podniósł rękę do szyi.

— Boli cię?... — spytała.

— Nie bardzo. To tylko zadraśnięcie. Gdy byłem pasterzem w pustyni Halihalbat polowałem z maczugą na lwy. Raz lwica, która właśnie porodziła, rzuciła się na mnie, dotąd na plecach noszę ślad jej pazurów. Ale wtedy byłem młodszy, silniejszy...

— Opaska ci spadła — powiedziała — poczekaj, poprawię.

— A nie, nie tu w lesie. Przecież wkrótce będziemy w domu?

— Tak, — odparła z wahaniem.

— Czy dobrze znasz drogę? Nie zabłądzimy? Kraj taki lesisty! Słyszysz szum? Czyżby to był szum morza?

— Nie, to szumią sosny. Szum sosen podobny jest do szumu fal.

Po chwili milczenia podjęła, jakby myśląc wciąż o tej samej rzeczy:

— A cóż to znaczy „Ojciec jest miłością“. Kto jest Ojciec? Bóg?

— Nie wiem. Od czterdziestu lat to powtarzam, ale nie wiem. Słowo boże jest zamkniętym naczyniem. Kto wie co zawiera? A może nie trzeba tego wiedzieć? Wiedzieć to umrzeć...

— Więc dobrze, chcę umrzeć byleby wiedzieć.

Oboje zamilkli słuchając szumu sosen, szumu niewidzialnego morza. Wszak to ten ryk tajemniczy roznosi wieść o śmierci do wszystkich ziemskich brzegów.

— W Ur, w Chaldei... — zaczął i zatrzymał się wymówiwszy imię swego ojczystego miasta, — nagle poczuł nienawiść do tych niskich chmur, topniejącego śniegu, niemiłej woni wilgotnych szpilek, smutnego kukania kukułki, szumu sosen, ponurego jak śmierć i do niej też, do ukochanej, gdyż to przez nią nie zobaczy nigdy swej ojczyzny i umrze wędrowiec na obcej ziemi, niby pies bezpański.

— W Ur, w Chaldei, — ciągnął dalej, ojciec mój był kapłanem boga księżycy, Sin. Chciał mnie też nauczyć tajemnic boskiej mądrości, ale nie słuchałem go, miałem inne rzeczy na myśli. Jednak coś niecoś z jego wiedzy zapamiętałem. Oto co przedtopowe tabliczki mówiły o stworzeniu świata, czy rozumiesz nasz język?

— Rozumiem.

Więc słuchaj:

Wezwali bogowie boginię

Mami wszechmożną i władną

— Mami, zdziwiła się u was Mami, a u nas Ma.
To samo imię.

— To samo. Może ona wszędzie jednaka.
Wszyscy ludzie, jak dzieci, nazywają ją „Mami“:

Wezwali bogowie boginię

Mami wszechmożną i władną:

„Ty tylko, ciało matczyne,

Możesz uczynić człowieka“.

Otwiera usta swe Mami

I bogom wielkim powiada:

„Sama uczynić nie władam“.

Dalej tabliczka jest pokruszona, ale oto koniec:

Otwiera usta swe Ea

Ojciec i bogom powiada:

„Boga powinno się zabić

I z boskim ciałem i krwią

Zamiesić glinę Mami...“

Tak też uczynili bogowie... z ciała i krwi poświęconego na ofiarę Boga stworzyli człowieka.

— U was też? — wykrzyknęła bardziej jeszcze zdziwiona.

— Tak, u nas też. Bóg umiera żeby człowiek żył. A czy nie to właśnie znaczy „Ojciec jest miłością“?

— Tak jest, tak jest! Dlaczego więc mówiłeś, że nie wiesz?

Z pod kołpaczka błyszczały jej oczy, gwiazdy prorocze, — straszliwie bliskie, straszliwie dalekie, — i znowu poczuł, że ta obca ziemia była jego ojczyzną, i że dzięki tej kobiecie kochanej i znenawidzonej zarazem, zginie jak pies bezpański, i że to właśnie będzie jego szczęściem.

— Dlaczego mówiłeś, że nie wiesz? — powtórzyła.

— Nie wiem. Nie wiem, dziewczyno — odpowiedział gorzkim uśmiechem. — Może właśnie to, a może co innego? Człowiek o Bogu nic więcej nie wie, jak robak o człowieku. Jakże lękliwa istota zrozumieć może boskie drogi? Wszystko jest podwójne. Jedno jest prawo dla nieba a drugie dla ziemi. Sądząc po rzeczach niebieskich, Bóg mało dba o ludzi. Jak się to śpiewa w naszych psalmach:

Pomocym czekał — nikt nie przyszedł,
 Płakałem — nikt mnie nie pocieszył,
 Wołałem — nikt nie odpowiedział.

— Złych i dobrych ten sam los czeka, wszyscy umrzemy i będziemy jak rozlana na ziemi woda, której nikt zebrać nie zdoła.

— Dlaczego tak mówisz?

— Jakto tak?

— Jak gdyby nic nie było?

— Cóż więc jest? Powinnaś to lepiej odemnie wiedzieć, tyś kapłanka, boskie tajemnice są ci odsłonięte. A ja jestem zwykły kupiec, umiem tylko liczyć. Dwa razy dwa — cztery, to śmierć. Człowiek umiera, kładzie się i więcej już nie podnosi.

— I to już wszystko?

— Wszystko.

— I nie chcesz niczego więcej?

— Jakżebym nie miał chcieć? Chciałbym, żeby dwa razy dwa czyniły pięć, ale wiem dobrze, że tego nie będzie, gdyż jeszcze coś innego powiedziane jest o stworzeniu świata:

Szukasz życia, lecz nie znajdziesz,

Kiedy bogi nas stworzyły

Sobie życie zostawiły,

Człowiekowi zaś śmierć dały.

— Wszystko jest podwójne, wybieraj co chcesz albo dwa razy dwa — pięć, życie, albo dwa razy dwa — cztery, śmierć.

Po chwili spytał:

— Czy to prawda dziewczyno, że na waszej wyspie składa się ludzkie ofiary, że ojcowie i matki poświęcają swe pierworodne?

— Zamilcz! Czyż można o tem mówić, — krzyknęła z lękiem.

— Nie można mówić, a można to czynić?

— Zamilcz, zamilcz, bezbożniku! Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, nie będę twoją przyjaciółką, — wyrzekła tak rozkazująco, że zamilkł.

II.

Już oddawna zeszli z drogi na ścieżkę, ledwie widoczną, podobną do śladu zwierzęcia. Nagle znaleźli się na cichej, ciepłej polanie otoczonej skałami. Po środku, w mgle wieczornej rozkwitało, całe różowe pod białym śniegiem, drzewko migdałowe.

— Może się omyliłeś w swych obliczeniach, kupcze? A jeśli nie zawsze dwa razy dwa cztery? — rzekła, patrząc na drzewko.

— Być może, — odparł, i znów się gorzko uśmiechnął. — Słuchaj dziewczyno. Głupi spytał mędrca: „Czy prócz zła nie ma nic pod słońcem?” A mądry odpowiedział: „Jest też i dobro”. „Jakie ono.” „Takie, że można nam obydwom rozbić głowy i rzucić je do wody.”

— Co za odpowiedź! — krzyknęła z dziwnym uśmiechem.

Spojrzał też na drzewko i zrozumiał: jego smutek był tem dla wesołości Dio, czem dla topniejącego śniegu różowe kwiaty.

Rozglądnęła się w około:

— Gdzie jesteśmy? Nie pamiętam tej polany.

— Wiedziałem dobrze, że zabłądzimy. Dlaczego zeszłaś z drogi?

— Chciałam pójść krótszą.

— I to się nazywa krótsza! A jaka głupiutka! Szukając drogi do nieba, zgubiliśmy ziemską. A noc się zbliża.

Usiadł na pniu sosny, ocierając pot z czoła. Nie myślał o sobie. Przyzwyczajona do polowań równie dobrze mogła spędzić noc w polu, jak i w domu. Ale wiedziała, że on jest zmęczony, osłabiony wskutek rany.

— Nie bój się, znajdziemy schronienie.

— W legowisku niedźwiedzia?

— Nie. — U Niej.

Zrozumiał, — u Niej, to znaczy u Matki. Imię Jej było tak święte, że go prawie nigdy nie wymawiano.

— Gdzie ona jest?

— Niedaleko stąd.

— Skąd wiesz o tem?

W milczeniu pokazała na wyrzeźbiony w korze sosny mały ostry krzyżyk, święty znak Matki. Powtarzał się dalej, na innym pniu, potem na innych jeszcze. Jak tajemne znaki — krzyże wiodły do Niej.

Pod ich przewodnictwem weszli w parów — łożysko wyschłego potoku, pokryte fjołkowymi wrzosami i rdzawymi paprociami, tak zbitemi, że nie widziało się gdzie stąpić. Dio szła pierwsza. Nagle cofnęła, zaledwie mając czas zatrzymać nogę nad brzegiem przepaści. Po drugiej jej stronie, w niepokojącej bieli mgły góry zgrupowały się w kształcie chmur, a bardzo wysoko, ponad niemi, wznosiło się samotne, prawie niewidzialne, białe widmo śnieżnej ldy. Sama wielka Matka, Ma nienazwana.

Zdawało się, że nie można iść dalej. Ale na wyłomie skały, ponad przepaścią był nakreślony czerwony mały krzyż — przewodnik. Okrążając skałę weszli na małą polankę, półokrągłą, otoczoną złomami kamieni, było to święte ogrodzenie przed grota Matki.

Na podwyższonym jego środku stał czarny kamień, zaokrąglony u góry, niby żołędź. Mówiono, że

spadł z nieba, jako meteor i że w nocy błyszczy na nim światło gwiazd. Był to święty kamień Betyl, mieszkanie Boga.

Przez furkę Dio weszła za ogrodzenie. Zbliżywszy się do kamienia objęła go i pocałowała. Poczem zwracając się do Tammuzadada, rzekła:

— Wejdz, ze mną możesz.

Wziąwszy go za rękę wprowadziła za okrag świątyni. W skale były małe miedziane drzwi. Dio zastukała. Nikt nie odpowiedział.

— Zapewne Pszczoły poszły do miasta, — rzekła.

Kapłanki Matki nazywano Pszczolami. Dio również była Pszczolą.

Małych drzwi nigdy nie zamykano. Bojaźń Boga strzegła świątyni. Otworzyli je i przez wąskie przejście weszli do ciemnej, ciepłej jaskini pełnej zapachu szafranu i kadzideł.

W bladym świetle prześlizgującym się przez półotwarte drzwi zobaczyli brązowy trójnog, ołtarz kadzideł, na którym iskry czerwieniły się w popiele. Dio roznieciła ogień, dorzucając kilka suchych gałązek. Żywy płomień zajaśniał. Cała grota ożywiła się. Za ołtarzem kadzideł znajdował się ołtarz do libacji, deska z czarnego steatytu, wsparta na kolumnkach; wyłobione w niej były trzy czary: na wodę, na mleko, na miód. Woda dla ojca, mleko dla Syna, miód dla Matki.

Dalej w głębi wisiaty olbrzymie gliniane rogi ofiarowania, pomiędzy którymi miedziana, na miedzianym trzonie lśniła odbijając blaski podwójna siekiera. Była to święta siekiera Labra, symbol poświęconego syna, niebieskiego cielca. Siekiera ojca, piorun, przeszywa chmurę, cielca, aby krwią ofiary, deszczem, zapłodnić ziemię karmicielkę.

W samej głębi znajdował się mały, ohydny posążek z gliny, odwiecznie stary, śmieszny. Zamiast twarzy miał dziób ptasi, a zamiast rąk zabawne kłoce, podobne do skrzydeł pisklęcia. W jego olbrzymich uszach tkwiły wielkie kolce, piersi miał zaznaczone czerwonymi plamami, a niżej czarny trójkąt płciowy.

Tammuzadad i Dio, wszedłszy do jaskini zdjęli skóry zwierzęce. On miał na sobie długą, podobną do kapłańskiej szatę z wełny fjołkowej, ze złotymi wyszyciami: powtarzał się na nich wciąż ten sam deseń: Edeńskie drzewo życia między dwoma cherubinami. Czarna broda, przez którą przewlekały się srebrne nitki, utrefiona była w drobne pukle o regularnych stopniach, wydawała się teraz śmieszna, gdyż wskutek deszczu i wiatru, włosy rozkręciły się i były zmierzwiłone. Niskiego wzrostu, krępy, miał szerokie ramiona. Twarz jego o rysach grubych, jakby rzeźbionych w kamieniu, opalona jak twarz marynarza, z ciągłym, niby zamartym, mądrym i złym uśmiechem, nie była piękna. Tylko czasem uśmiech niespodziany, niby uśmiech dziecka pokazywał z pod opadłej maski twarz inną, prostą, dobrą.

Ona miała spódnice kreteńską z falbanami, na kształt dzwonu, rozszerzająca się u dołu, zaokrągloną przy każdej nodze, przez co przypominała nieco spodnie. W pasie była bardzo cienka, podobna do osy, ściśnięta, prawie przecięta, skórzanym paskiem. Górna część ciała okryta była chitonem obcisłym, przylegającym z materji cienkiej, złotej, przypominającej łuskę suchej cebuli. Trójkątne wycięcie z przodu, schodzące aż do pasa, odsłaniało całe piersi.

Gdy ogień zapłonął na ołtarzu Dio, podnosząc ramiona, wyciągnęła ręce dłońmi ku ohydnemu, ma-

łemu posążkowi stojącemu w głębi groty i potem podniosła je do czoła, jak gdyby chroniąc oczy od zbyt wielkiego światła. Trzy razy powtórzyła ten ruch szepcząc modlitwę w dawnym świętym języku. Tammuzadad źle ją rozumiał: jednak słyszał, że prosiła Matkę:

— Wszyscy są dziećmi twemi, Matko! Rozgrzesz je, zbaw i chroń!

Ze zdziwieniem poznał, że to ta sama modlitwa, której w dzieciństwie uczyła go matka, wymawiając ją zawiesiła mu na szyi talizman z krwawnika, talizman z nawpół zatartymi znakami starego napisu: „Ojciec jest miłością“.

III.

Gdy Dio skończyła modlitwę, wskazała mu, na dwóch przeciwnych ścianach groty, dwa wielkie stosy zeschniętych liści, pokryte skórą owczą, zapewne posłanie Pszczół, które tu mieszkały:

— Dobry będzie nocleg!

Spojrzał na nią milczący i zdziwiony, nie rozumiała co czyni, czy też ufała, że łaska Matki ochroni od wszelkiego złego.

Kazała mu usiąść na pniu drzewa i wyciągnęła ze swej torby myśliwskiej, wszystko co było potrzebne dla opatrzenia rany, poczem poszła po wodę do źródła, leżącego u wejścia groty. Zagotowała ją w naczyniu miedzianem przy węglach palących się na ołtarzu, umyła ranę, przesypała trawą uśmierzającą ból, obwiązała kawałkiem lnianego płótna. Jak wszystkie Pszczoły była zręczną lekarką.

Jej lekkie palce zaledwie dotykały rany. Ale on zbladł i zacisnął zęby:

— Lilith, Lilith! — szepnął niby w obłąkaniu.

— Co mówisz? — spytała.

Nie odpowiedział nic. Lilith, demon babiloński, piękność straszliwa i czarująca, ni to mężczyzna ni to kobieta, jedno i drugie zarazem, w nocy wysysała krew śpiącym młodzieńcom i dziewicom.

Młode dziewczęta często miewają wygląd chłopców. Ale Dio nie tylko miała wygląd chłopca. Rzecz

dziwna, czasem nie wiedział kogo kocha: ją czy jego. Widział nagość jej dziewiczej piersi, a jednak — nic nie wiedział.

O, to ciało zbyt szczupłe, wysmukłe, niby ciało efeba, te biodra zbyt wąskie, te ruchy kańciaste, te nieposłuszne pasma krótkich włosów, czarne, nieomał niebieskie, ta barwa policzków, delikatnych a opalonych, mężka i dziewicza, jak kwiat migdałowy w wieczornej mgle, ten ciemny puszek na górnej wardze, zabawny „mały wąsik“, dla niego nie zabawny, ale straszny. Ani on, ani ona, i on i ona razem. — Lilith, Lilith!

Chwilami chciał poprostu ją zapytać: kim jesteś? A jeśli nie pytał, to nietylko dlatego, że byłoby to dziwaczne pytanie. Ten, kto podnosi zasłonę z mej twarzy — umrze, powiedziała Istar, bogini babilońska, gwiazda miłości, światło wieczorów i ranków. Kobieta o zachodzie, Mężczyzna o wschodzie, jednocześnie mężczyzna i kobieta. Lękał się dowiedzieć kim ona jest. Wiedzieć — to umrzeć.

Dio wyjęła z torby myśliwskiej i położyła na stół — inny pień drzewa, trochę węższy, dwie flaszki szklane. W jednej z nich było wino, w drugiej oliwa — dalej cebulę, ser, suche owoce a dla niego kawał wędzonego mięsa.

Ona nie jadła mięsa: kapłanki Matki nie brały do ust niczego co oddycha.

Nie jadł, jedynie wypił chciwie kubek świeżej wody. Ona zaś jadła za dwoje, jak prawdziwa łowczyni.

— Już nie zabłądzimy, — gwarzyła wesoło — Droga jest stąd blisko. O wschodzie nasi zejda z góry. Mają dwa wozy, na jednym jest byk, na drugim ciebie położą. Wrócimy z nimi do miasta. Ale dlaczego jesteś smutny? O czym myślisz.

— O niczem. Od ciebie idzie zapach szafranu? „Słodkie tchnienie szafranu“ jak się to śpiewa w waszych hymnach. To święty zapach Pszczół, nieprawdaż?

— Tak. Ty go nie lubisz?

— Owszem.

Wyciągnął nóż z pochwy, ten sam, którym niedawno zabił dzika. Obejrzał czy nie poplamiony krwią. Wytarł suknem, oczyścił: żelazo świeciło ciemnym blaskiem.

— Czy miedź czarna jest trwalsza od złotej? — spytała.

Na wyspach nie było żelaza, ani nazwy na oznaczenie go.

— Ono jest bardziej twarde, łatwiejsze do kucia, a jeśli, rozgrzawszy do białości, umoczy się je w wodzie, staje się jeszcze trwalszem i gnie się bez złamania, jak trzcina.

— Ty niem handlujesz?

— Tak, ja pierwszy wam go przyniosłem, nikt tego przedemną nie uczynił.

— To ono cię wzbogaciło?

— Żelazo jest cenniejsze od złota. Sprzedaję je po wysokiej cenie.

— Skąd ono pochodzi?

— Z kraju Halibów, na północy. Oni tam wszyscy kupcy i kowale, a przywożą je im inni, mieszkający jeszcze bardziej na północy. Tam ziemia i niebo są z żelaza, ludzie też... Jeśli przyjdą do was, zginiecie. Miedź nie może zwyciężyć żelaza. Ten kto posiada żelazo zwycięży świat.

— Czyż oni mogą przyjść do nas?

— Już się zbliżają... Był kamień, była miedź, będzie żelazo. A tam gdzie jest żelazo jest krew.

Krew przylega do żelaza... Mówi się w księgach proroków: „Na końcu dni wszyscy nawzajem zabijają się będą”. Był potop wody, będzie potop krwi i wtedy nastąpi koniec świata.

— Tego nie będzie.

— To będzie. Dlaczego nie?

— Matka na to nie pozwoli! — rzekła, a po namyśle dorzuciła:

— Jak się nie boisz?...

— Czego?

— Sprzedawać to?...

Już nie chciała wymówić ohydneho słowa: żelazo.

— A cóż to bogów obchodzi? — odpowiedział z gorzkim uśmiechem. — Bogowie się nie mieszają do tych rzeczy. Towar czyni kupców. Jeśli nie będą tego robić — zrobi to kto inny.

— Schowaj, schowaj, nie pokazuj Jej! — szepotała ze strachem i wstrętem.

Schował nóż do pochwy.

— Obok Halibów mieszkają Amazonki — ciągnął zwyczajem marynarzy, którzy lubią przypominać sobie dalekie kraje. — Amazonki, znaczy dziewice bez piersi, przepalają sobie prawą pierś, żeby im nie przeszkadzała przy strzelaniu z łuku. I taki u nich zwyczaj: kobiety walczą, gdy mężowie przędzą wełnę i bawią dzieci. Zresztą na waszych wyspach był, mówią, niegdyś podobny obyczaj, dziś nawet matka więcej znaczy od ojca, a kapłanki więcej czczone są od kapłanów. Wy wszystkie Pszczoły też nienawidzicie mężczyzn... Cóż to za pieśń brzęczą Pszczoły w noc księżycową, w świętych gajach, przy słodkim zapachu szafranu?

— To nie pieśń, to modlitwa.

— Więc dobrze, powiedz mi ją.

Uśmiechnęła się i nagle zaszeptała cicho, zabrzęczała modlitewnie:

Niechże mi danem będzie uniknąć
Mnie, wolnej córce królewskiej Matki,
Jarzma sromoty, objąć mężczyzny!

— A dalej, jak dalej? — prosił natarczywie.

Spuściła oczy, już bez uśmiechu, szepnęła jeszcze ciszej:

Niech pochyli ku proszącej
Swe oblicze łaski Matka
I niech najświętszem okryciem
Dziewica dziewicę okryje.

— Koniec dobrze pamiętam:

Lepszy jest arkan śmiertelny
Niż nienawistne męża łoże.

— Oto jakimi jesteście, wy, poświęcane dziewice. Nie pierś sobie przepalacie, a serce. Ale do niczego to was nie doprowadzi, głupie! Dwa razy dwa cztery, w miłości czy w śmierci. Każdy ptak wije sobie gniazdo, każda dziewczyna pragnie męża. I ty też go zapragniesz, ty też będziesz kochać.

Podniosła na niego swe oczy, gwiazdy prorocze, straszliwie bliskie, straszliwie dalekie.

— Nie będę kochać, — odpowiedziała prosto. Tak nie będę kochać.

— A jak? Jakżeż inaczej kochać?

Nie odpowiedziała nic.

Ogień zagaśł. Dorzuciła kilka gałęzi smolnych, przygotowała je na całą noc. Płomień wybuchnął. Podwójny topór zabłysnął, czarne cienie rogów tańczyły na ścianie, a mały posążek w głębi groty

zdawał się ruszać skrzydełkami pisklęcia, jakby chciał lecieć.

— Czy to prawda, że u was w czasie misterjów Matki, kapłani ubierają się jako kapłanki, a kapłanki jako kapłani? Dlaczego tak? Czyżby Malka...

— Zamilcz! — powiedziała rozkazująco, jak przed chwilą, gdy pytał o ludzkie ofiary.

Ale on nie chciał dłużej milczeć i drząc cały, mówił jakby w malignie.

— Strzeżcie się! Już pod waszemi nogami drży ziemia, która was dłużej nosić nie chce. Bóg was ukarze, wszyscy rzuceni będziecie na dno otchłani.

— Za cóż nas ukarze?

— Już choćby za to szaleństwo — żeście chcieli zmienić prawa natury, uczynić żeby dwa razy dwa było pięć.

Nagle rozśmiała mu się w twarz wesoło, jak przed chwilą, gdy w mgle wieczornej patrzyła na różowe kwiaty migdałowego drzewka.

— Ty nic nie wiesz, nic nie wiesz! Dlaczego mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia?

W milczeniu popatrzył w głąb jej oczu i znowu zbladł, zacisnął zęby, czując niby ukąszenie skorpiona. Śmieszność, śmieszność i coś strasznego zarazem. Już na wargach jego drżało, wyrwało się szalone pytanie: Kimże ty jesteś, kim jesteś Lilith?

Wstał i zarzucił na siebie lwia skórę.

— Dokąd idziesz?

— Do lasu.

— Po co?

— Spać.

— A tu ci źle?

— Nie.

— Więc po co?

Znów spojrział na nią, w milczeniu, ona nagle zrozumiała, zarumieniała się i spuściła oczy; nie było już chłopca tylko została młoda dziewczyna.

Szedł ku drzwiom. Ona za nim.

— Poczekaj na mnie. W nocy sam nie przejdiesz nad brzegiem przepaści...

Zatrzymał się nie odwracając głowy, bo czuł, że jeśli to uczyni, — nie odejdzie.

— Albo lepiej zostań tu a ja pójdę. Mogę spać na sianie, jestem do tego przyzwyczajona. Chcesz?

Teraz to nie był chłopiec, ani dziewczyna, tylko poprostu dziecko. Oglądnął się, powoli, powoli wracał na dawne miejsce.

— Jakże ty jesteś podobna do swego ojca, Dio! — mówił na pozór zamyślony i spokojny. Byliśmy przyjaciółmi, więcej, braćmi. Raz płynęliśmy szukając bursztynu ku północnym brzegom, sąsiadującym z Państwem Cieni, tam gdzie zorza trwa całą noc i gdzie pnie drzew są białe. Płynęliśmy nocą. Woda była spokojna, równie biała i przejrzysta jak powietrze, nie było morza tylko dwa nieba, jedno w górze, drugie w dole. „Podobna cisza, powiedziałem, to znak burzy. Czy nie boisz się, bracie, w czasie burzy zostawać z takim jak ja człowiekiem? Mówią, że bogowie topią okręty, które wiozą zbrodniarzy.“ Opowiedziałem mu swoją historję, a on mi rzekł:

— Cóżżeś mu powiedział?

— Poczekaj, powiem ci później. A on mi rzekł: „Nie, nie boję się Tammu“.

— On cię tak nazywał?

— Tak. „Nie, rzekł, nie boję się Tammu, jesteście bracia. Nigdy cię nie opuszczę. Żyliśmy razem, razem umrzemy.“ Burza była silna, ale wyszliśmy z niej cało. A jednak wola Bogów spełniła się, gdyśmy

wracali na wyspę blisko brzegu, koło przylądka Lithynien, tam gdzie morze gotuje się jak w kotle, okręt się rozbił o skały podwodne. Ocalałem, ale ojciec twój zginął. Tak, bogowie wolę swą spełnili: pozwolili zginąć niewinnemu a wybawili zbrodniarza.

— Cóżes mu opowiedział?

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Żeby cię poznać.

— A jeśli powiem, czy pozwolisz mi odejść?

— Uczynię jak zechcesz.

Spuścił oczy i znowu zamyślony, choć pozornie spokojny, rozpoczął:

— Powiedziałem mu, że krew ciąży na mnie.

— Czyja krew?

— Mego ojca.

Zamilkł, poczem zapytał, wciąż równie spokojny:

— Nie wierzysz?

Spojrzała na niego, spuściła oczy, uwierzyła.

— Jak się to stało?

— Bardzo prosto. Była u nas niewolnica, Elamitka, trzynastoletnia dziewczynka, nieładna nawet, milutka tylko i bardzo złośliwa, prawdziwe małe zwierzątko. Obu nas prowadziła za nos i z obu spała. Ojciec mój dowiedział się o tem i zabił ją, a ja jego zabiłem. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Nie jesteś tego pewny?

— Nie. Bardzo się bałem i uciekłem z domu, z miasta, z kraju. I biegam wciąż biegam, nigdzie nie znajdując odpoczynku. A, lepiej byłoby mieć pewność...

Zamilkł, a potem dorzucił z kamiennym uśmiechem:

— Może dlatego handluję żelazem: jaki towar, taki kupiec.

Długo siedzieli w ciszy, nie patrząc na siebie. Nakoniec, nie podnosząc jeszcze oczu powiedział:

— I cóż dziewczyno, nie boisz się takiego, jak ja, człowieka?

Wyprostowała się, położyła mu ręce na ramionach i rzekła:

— Nie Tammu, nie boję się. Nie opuszczę cię nigdy.

Podniósł na nią oczy i w twarzy jego coś zadrżało, otwarło się powoli, powoli, jak się otwierają zardzewiałe oddawna drzwi.

— On, on, on Aridoel! — wykrzyknął z radosnym przestraczem i upadł na ziemię z głuchym łkaniem, pocałował nie jej nogi, lecz ziemię koło jej nóg.

Poczem wstał, zbliżył się szybko do jednego z dwóch stosów suchych liści, położył się twarzą do ściany i rzekł:

— Dobranoc Dio, śpij spokojnie. Proś Matkę za mną!

Zakrył sobie twarz lwią skórą, zamknął oczy i prawie zaraz usłyszał brzęczenie pszczoł w księżycowym sadzie, nad kwiatami szafranu. Miał zaledwie czas pomyśleć: „Jakie to dziwne, pszczoły przy księżycu“ i zasnął słodkim snem, jakiego nie zaznał od czasów dzieciństwa, w objęciach matki.

IV.

Zbudził się ze strasznego snu: napróżno chciał go sobie przypomnieć, nie mógł i jeszcze mu straszniej było.

Podniósł się, spojrzał wokoło i przy mętnej rdzawej świetle węgli żarzących się na ołtarzu, zobaczył na przeciwległej ścianie muru coś wysokiego, wysmukłego, złoto-szafranowego.

Nagle zrozumiał, czego się bał.

Skoczył i chwając się, jak człowiek pijany, zbliżył się do drzwi.

Zdawało mu się, że jeszcze śpi, że z jednego snu przeszedł w drugi, jak to się zdarza w gorączce i jak w gorączce, ociążały jego nogi, ruszały się, nie ruszając. Zatrzymał się i uczył, jak przed chwilą, że jeśli się obróci, to nie będzie mógł odejść.

Rozerwał kołnierz koszuli, obu rękami dotknął talizmanu i szepnął: „Ab vad! Ab vad!” Ale nawet i talizman nie mógł mu pomóc. Nagle straszliwa jakaś siła chwyciła go za głowę i zmusiła go do obrócenia się, popatrzył: „Nie chcę, nie chcę, nie chcę!”, jęczał zgrzytając zębami. Ale ta sama siła popchnęła go ku temu czemuś, wysokiemu, wysmukłemu, złoto-szafranowemu.

Zbliżył się, upadł na kolana i drżąc tak, że zęby stuknęły, wyciągnął rękę, dotknął naprzód skóry wilka, potem żółtej zasłony, haftowanej w srebrne pszczoły. Stuk-

chał. Dio spała spokojnie głęboko oddychając, na piersi jej lekka materja ledwie się poruszała. Twarz miała zakrytą.

Czołgając się na kolanach zbliżył się znowu, wyciągnął rękę: „Ten kto podniesie zasłonę z mej twarzy — umrze!” jak błyskawica przeleciała myśl. Podniósł zasłonę — umarł.

Pochylając się nad Dio uczuł jej oddech, słodki oddech zimowego szafranu, dotknął jej ust ustami i szepnął zdławionym szeptem:

— Kimże ty jesteś Lilith?

Otworzyła oczy, nie rozumiejąc co się dzieje, wyprostowała się i odrzuciła go tak silnie, że upadł nawznak. Ale znów się podniósł i szedł ku niej.

Skoczyła w głąb groty. W ręku jej zabłysnął brązowy nóż. On wyciągnął z pochwy nóż żelazny. Ale zaraz odrzucił go tak daleko, że ostrze zadzwieczało o mur. Widział z jej twarzy, że gdy się zbliży — zabije go. I zbliżał się wolno, krok po kroku, ręce silnie splecione na plecach, palce zaciśnięte.

Gdy był tak blisko, że mógł ją schwycić, podniosła nóż.

— Zabij mnie, zabij! zabij! — szeptał błagalnie, splatając coraz siniej ręce na plecach.

Nagle zobaczyła, że przez białe płótno, które owijało jego szyję, na nagie piersi Tammu sączyła się cienka nitka krwi. Zapewne odpychając go, dotknęła rany.

Rzuciła nóż, wyciągnęła podniesione ręce, jak niedawno w czasie modlitwy przy ołtarzu i zawołała:

— Matko, litości!

Zrobił jeszcze krok, zatrzymał się, podniósł oczy w górę, jak gdyby tam coś widział i ze słabym okrzykiem upadł bez zmysłów.

Gdy wrócił do siebie, klęczała przy nim. Jedną ręką podtrzymywała mu głowę, a drugą zbliżała do ust kubek zimnej wody. Pił spragniony. Zdawało mu się, że dopiero teraz wyzwolił się ze straszego snu.

— Co to jest? co się stało? — pytał, patrząc na nią.

— Nic, — odpowiedziała. — Miałeś zły sen, zbudziłam cię.

Leżał na ziemi z głową opartą na zwiniętej wilczej skórze. Chciał wstać, ale nie miał sił. Pomogła mu. Patrzył wokoło. Przez otwarte drzwi zobaczył jak wchodzące, błękitnawe światło poranku padało na złotą zasłonę w srebrne pszczoły, zupełnie zmiętą. Nagle przypomniał sobie wszystko i schował twarz w dłonie.

Pochyliła się ku niemu i biorąc głowę w swe ręce, pocałowała go w czoło.

— Tammu, bracie mój, nie opuszczę cię nigdy i Matka nas nie opuści.

Gładziła ręką jego włosy, jak matka pieści chore dziecko.

Nagle, bardzo daleko, potem coraz bliżej, coraz bliżej, słychać było rozgwar głosów i pieśń myśliwską.

— To nasi wracają z Góry, — rzekła wstając szybko. — Poczekaj zaraz wrócę.

Wybiegła z jaskini do ogrodu, chwyciła olbrzymią muszlę trytona, która stała na murze, koło małych drzwiczek. Ostry jej koniec podniosła do ust, napełniła swym oddechem i rozległ się dźwięk podobny do ryku byka, budząc w lesie i górach pokrewne echa. Za pomocą tych muszli-trąb porozumiewali się pasterze i myśliwi.

Gdy zamilkło ostatnie echo, nadśluchiwała, a z tej części lasu, skąd niedawno rozlegała się pieśń myśliwska odpowiedział taki sam dźwięk trąby.

Zanim Dio wróciła do groty popatrzyła na Górę. Niebo było jasne, słońce jeszcze nie wstało, ale na przejrzystem złocie wschodu, od strony gwiazdy porannej, lśniącej niby olbrzymi djament, błyszczała już zaróżowiona biel-śnieżnej ldy, tak dziewiczo czysta, jak niepokalana Dziewica-Matka.

V.

Łowcy i łowczynie schodzili z ostatnich stopni Góry, ku wielkiej równinie Knossos.

Na pierwszym z wozów, zaprzężniętym w woły, o skrzypiących kołach, z jednego kawałka drzewa, leżał pojmany byk, na drugim Tammuzadad wyciągnięty na miękkim stosie skór, rzuconych tam przez myśliwych, gdyż tu w dole było już ciepło. Włócznie, łuki, oszczepy, sieci i inne przybory myśliwskie złożone były w głębi wozu.

Byk silnie związany, ściśnięty w siatce z grubych morskich sznurów, podobny był do olbrzymiej, miękkiej, białej larwy. Oddawna już przestał się bronić, zupełnie osłabiony, tylko wzdygał się boleśnie patrząc z pod łba przekrwioną źrenicą i wydając pomruki głuche a tak rozdzierające, że przenikały do głębi ludzkich wnętrz.

Tammu trzymał się ręką za brzeg wozu. Dio położywszy swą rękę na jego szła obok. Nie można było rozmawiać z powodu skrzypienia wozów. Lecz gdy patrzyła na niego milcząca a uśmiechnięta, serce Tammuzadada drżało ze szczęścia, jak wczoraj w lesie, choć wiedział, że szczęścia nie będzie. Słyszając ryczenie byka zdawało mu się, że on też jest bykiem uwięzionym przez piękną dziewczynę-łowczynię.

Dziewczęta i chłopcy śpiewali, tańczyli, weselili się jak dzieci, podczas gdy kapłani sławiąc boga

Aduna-Adonisa, ofiarowanego byka, syna Wielkiej Matki, przy głuchych dźwiękach cymbałów i płaczących dźwiękach fletów, tańczyli, śpiewali z krzykiem i poświstem.

Io Adun! Io Adun!

Szalony byku! Szalony byku!

W gwizdaniu fletni, w szarpaniach strun

Skoki, skoki, skoki, skoki!

Płasający, skakający

Od miedzianych bram

Od chłodnych strug!

Płasaj dla naszych winnic,

Płasaj dla naszej pszenicy,

Płasaj dla naszych owiec,

Płasaj dla naszych psiek.

Nagle, na skrócie drogi, z wyżyn wzgórza zobaczyli morze mgliste i burzliwe, dymiące białym dymem — pianą fal i palące się ogniem ciemnego fioleto. Upojeni świeżością słonego powietrza jeszcze weselej poczęli tańczyć:

Io Adun, Io Adun!

Płasaj niby lekka fala

Wiecznie błękitna

Chwała ojcu niewypowiedzianemu

Chwała synowi ofiarowanemu

Chwała ci — Matko Wielka.

A w dole, u stóp wzgórza, w czarno-zielonym pierścieniu cyprysów, zabielało oslepiające, jak tylko co spadły śnieg, lub białe płótno rozciągnięte w polu, miasto — zamek, biało-kamienna siedziba byka — Labirynt.

LABIRYNT

I.

Tutankhamon albo Tuta, jak nazywano zięcia Akhenatona, króla egipskiego, był posłany w roli ambasadora do wielkiego Królestwa Mórz, na wyspę Kreftiu-Kretę.

Nie bez obawy wsiadał on na okręt; egipcjanie bali się morza — Bardzo Zielonego — Uazit-Oireta. „Płynąłem po Bardzo Zielonym. Nagle, rozpętała się burza i zniszczyła mój statek, Ludzie moi zginęli, a ja uchwyciłem się deski i fale wyrzuciły mnie na wyspę Keftiu“ — tak opisywał on swą podróż. Nic podobnego się nie stało, szczęśliwie dotarł do Krety, ale jako biegły opowiadacz, wzorem literatur dawnych, zmyślił to rozbicie, gdyż w ten sposób rozpoczynały się wszystkie staro-egipskie opowiadania o morskich podróżach.

Oczekując na widzenie się z królem kreteńskim, każdego ranka, w swych apartamentach w pałacu Knossos, pisał dziennik podróży. Mógł być go dyktować swemu sekretarzowi, ale sam lubił pisać. Przodkowie jego byli skrybami i można powiedzieć, że urodził się z trzcina do pisania w rękę. Ile razy zabierał się do pracy, przypominał sobie tę sentencję, pełną starożytniej mądrości: „Godność skryby stawia go wyżej ponad innymi. Wszyscy pracują w pocie czoła, a on odpoczywa pracując.“ Sam Bóg Toth, Piękno-twarza-Małpa, był pierwszym ze skrybów. Tuta przykucnąwszy nad pulpitem, o spadzistej deszczułce,

moczył w czernidle mały pędzelek trzciniowy a potem starannie rzeźbił hieroglify na papiirusie gładkim i jedwabistym. Olbrzymia myśliwska kotka, pół-pantera, spała u jego nóg na małym dywaniku. Byli do siebie nieco podobni: ta sama okrągła twarz, płaska i szeroka, także wielkie wązko-przecięte, jak u dzikich zwierząt, oczy, także ostrożna słodycz i pieszczota w ruchach. Nigdy się nie rozłączali; ona towarzyszyła mu wszędzie, jak cień, a jemu się zdawało nieraz, że to nie było zwierzę, tylko jakaś istota bliska i pokrewna. Po słońcu egipskiem Tuta nie mógł się przyzwyczaić do miejscowego klimatu. Żeby się zabezpieczyć od porannego chłodu, otulał się w ciepły płaszcz i grzał się przy piecyku, pełnym żużli. Jego skostniałe palce zaledwie mogły utrzymać trzcinę.

„Na wyspie Keftiu dzieje się wielki cud. Zimno czyni deszcz twardym i bieli go, jak sól. Tutejsi mieszkańcy nazywają to „śniegiem“, a my nie mamy na to nawet słowa, gdyż oczy nasze nigdy takiego cudu nie oglądały.“ Tak opisywał śnieg leżący na górze Ida i jeszcze bardziej było mu zimno.

— Dorzuć węgla! — rozkazał służącemu, przestając pisać i schował pod płaszcz skostniałe ręce.

Codziennie podrostki królewskie przynosiły do apartamentów ambasadora dary, ofiarowane królowi egipskiemu przez króla Keftów. Tego dnia przyniosły dwanaście waz glinianych, cudownie malowanych, wysmukłych jak ciała młodych dziewcząt, cienkich, jak skorupki jajek.

Juti, pierwszy architekt, malarz i rzeźbiarz królewski, przystąpił jednocześnie z Tutą, żeby zaprosić tutejszych mistrzów do Egiptu, stuknął zgiętym palcem w jedną z waz. Zadzwoiła, jak szklana.

— U nas by tak cienkiej nie zrobili, — chwycił się Tuta.

— Jednym chodzi o cienkość, innym o trwałość. Tutejsi mistrze pracują dla chwili, a my dla wieczności, — odparł Juti.

Mówił co innego, a co innego myślał. Jego ręka czuła i inteligentna — ręka artysty bywa inteligentna — dotykała, niby żywego ciała, delikatnych kształtów wazy, a czarna twarz, pomarszczona od słońca, jak twarz starego murarza, marszczyła się jeszcze bardziej pod wpływem dziwnego uczucia, słodkiego i bolesnego zarazem. „Nie ma nic w świecie, ponad Egipt“, myślał całe życie, jak jego ojcowie, a oto nagle, zrozumiał, że są jeszcze gdzieindziej rzeczy dobre.

Na jednej z waz wymalowane były łodygi wodnej rośliny, obraz ten był tak pełny życia, iż zdawało się wiatr je kołysze i słyszeć szum.

— A to? — zapytał Tuta, wskazując ponad łodygami na ciemną, grubą linię.

— Chmury, — tłumaczył artysta.

Tuta zadziwił się; nigdy, od tysiąca lat, odkąd istnieje malarstwo egipskie, nikomu nie przyszło na myśl, żeby przedstawić, zatrzymać płynące chmury.

Twarc Juti marszczyła się boleśnie. Choć rozum tego jeszcze nie pojmował, serce przeczuwało, że, być może, dość tej ciemnej linii, tego lotu chmur, żeby raz na zawsze zniszczyć wieczne granity Egiptu. Zniszczyć wieczne, wiecznem uczynić przelotne, zatrzymać lecące, — oto dzieło tych bezbożnych.

— Bezbożni, nieczyści, nieobrzezani! — szeptał z przesadnym strachem.

Na innych wazach przedstawione było tajemnicze życie morza: zielono-lazurowe delfiny między koralami i gąbczastymi kamieniami, siatka do łowienia purpu-

rowych muszli, tłusty minog, rozwijający swe żółte, oślizgłe, różowo nakropione macki, stado latających ryb, krążących nad wodą niby ptaki. I to znów wszystko było takie żywe, że zdawało się im, iż słyszą szum fal i czują, jak z alg wydobywa się świeża słoność ostryg.

— Nofert, nofert! — śliczne, śliczne! — zachwycił się Tuta. Czego robisz miny? Nie podoba ci się?

— Ty wiesz dobrze, panie, — odparł artysta, spokojny — lecz nie tak, jakby nim być chciał, — ty dobrze wiesz, że my, ludzie Czarnej Ziemi, nie lubimy „Bardzo Zielonego“. Na ziemi są bogi, a w wodzie demony.

Pomyśliwszy dorzucił:

— Niech mi Twa Miłość przebaczy, ale, kto wie, może cała ich sztuka jest nieczystością i dziełem szatana.

— Jesteś człowiekiem rozumnym, Juti, a prawisz takie głupstwa!

— Nie, to nie są głupstwa!...

— Ja was znam, was artystów. Wy jesteście zawistni. Ty nie umiesz tak zrobić i zazdrościsz. Poczekaj, napiszę do Królewskiej Mości, żeby zostawił ciebie na naukę u tych djabłów morskich! — mówił Tuta śmiejąc się, aby drażnić starca.

Błysk przeszedł przez oczy Juti, ale zaraz zgasł. Tutankhamon uważał za wielkiego dygnitarza, a jak każdy prawy egipcjanin cenił ustalone godności.

— Jeśli taka wola króla, pójdę na naukę nawet do djabłów — odpowiedział pokornie i wedle dworskiego obyczaju dotknął tylko, nie pocałował ręki pana.

Poczem zbliżył się do skrzyni drewnianej, którą przyniesiono jednocześnie z wazami, odsunął de-

seczkę z boku i wyjął dwie figurki: był to byk skaczący, z ciemnego polerowanego bronzu i mały człowieczek z kości słoniowej, zawieszony nad plecami byka na niewidzialnej prawie nitce, między dwoma słupkami, połączonymi poprzeczną belką.

Juti popchnął małego człowieczka, który zaczął się hustać, zakreślając łuk nad bykiem, jakby lada chwila miał przeskoczyć przez głowę, podobnie, jak to czynią święci akrobaci na tauromachjach na arenie w Knossos.

Patrząc na wyciągnięte, niby struna ciało, Juti przypomniał sobie nagle to dziwne uczucie, gdy się lała we śnie, myśląc: dlaczego dawniej nie wiedziałem, że można latać?

— „Polecimy, mówią oni; przypniemy sobie skrzydła i polecimy — będziemy jak bogowie“ — pomyślał głośno.

— Kto tak mówi? — spytał Tuta.

— Dedale.

— Jacy Dedale?

— A tutejsi spryciarze. Wielki Dedal zrobił woskowe skrzydła swemu synowi, Ikarowi i chłopiec poleciał w niebo. Za blisko chciał być słońca: wosk stopniał a on zabił się spadając. „Zrobimy lepsze — mówią — i będziemy latać“.

— A cóż ty myślisz? Polecą, oni mogą, oni wszystko mogą! — zachwycił się znów Tuta.

— Polecą, bo polecą, ale dokąd?

— Jakto dokąd? Do nieba.

— Czy tylko aby do nieba?... Wasza Miłość mocno dziś w nocy raczyła spać?

— Mocno, a o co chodzi?

— Nic nie słyszała?

— Nic. Poczekaj no, coś było. Grzmoty, tak?

— Grzmoty, ale nie z nieba.

— A skądże?

— Z pod ziemi. Mówią, że się to tutaj często zdarza przed trzęsieniem ziemi...

— Znasz Tammuzadada, kupca handlującego żelazem?

— Tammuzadada? A tak. Kupuję u niego żelazo, tylko że drogo chce. Więc cóż ten kupiec?

— On mówi tak: Nie bez powodu ziemia pod nimi drży — nie chce więcej ich nosić, kara bogów nad nimi, wszyscy rzuceni będą na dno otchłani.

— Za co?

— A choćby za to co mówią: „Będziemy latać i będziemy jako bogowie“ — odpowiedział Juti i znów poruszał człowieczka a ten zaczął się hustać lekko, niby w cudownym śnie.

— Polecą w przepaść, nie do nieba, tem się to wszystko skończy.

Kotka zbudziła się, wyciągnęła, popatrzyła na nich zważając agaty swych bursztynowych oczu i zamruczała, jakby chciała coś powiedzieć; podobna była do sfinksa.

Ale Tuta myślał już o czem innem, poczuł, że środek przeczyszczający wzięty na noc, zaczyna działać. Cierpiał na zatwardzenie, spadek po przodkach skrybach — skutki siedzącego życia. Szybko wstał i poszedł do ustępu. Kotka za nim. Ze wszystkich kreteńskich cudów, największym cudem wydawała mu się woda w ustępie. Spryciarze — Dedale po całym pałacu poprzeprowadzili wodociągowe rury. Woda podnosiła się w górę a potem, opadając, zabierała ze sobą nieczystości, myjąc i płószcząc wszystko. Czyż sam król bóg Ra, gdy żył na świecie, śnił kiedy o podobnych wygodach?

Ściany komórki wyłożone były gładkimi, białymi gipsowymi taflami: jasno, czysto, świeżo a w dole szemrała woda, jak wiecznie bijące źródło. Na oknach w wazonikach kwitły żywe lilje — nowy cud; wszędzie ścina się kwiaty i wstawia do naczyń z wodą, tu w domu rosną niby w polu.

— A jednak miłe te dobroczynne djabły morskie! — rozmyślał Tuta, siedząc, niby król na tronie. — Wszystko mogą — polecą. Dobrze jest latać, ale i siedzieć w takim miłym ustroniu — wcale nieźle.

Nagle niewiadomo skąd, wśród tych nowych, kreteńskich myśli, przyszył wspomnienie stare, egipskie, o mumji wujaszka.

Tuta miał wuja, odwiecznego starca Khnoumkhoufou, jak on sławnego skryba i wielkiego dostojnika, który też cierpiał na zatwardzenie. Gdy umarł, pogrzebano go z honorami. Ale nie zaznał spokoju w mogile, co noc zjawiał się u najwyższego kapłana, który przodował na jego pogrzebie i tak go straszył, że ten przyznał się, iż nie rozpieczętował otworu odchodowego.

Zanim kładziono nieboszczyka w grób, kapłan-zaklinacz wskrzeszał go, odmykając „odpieczętowaną“ mu oczy, uszy, usta, nozdrza i stolec. O tem ostatniem kapłan zapomniał, zrobił to przypadkiem, a może i naumyślnie, mszcząc się za coś na nieboszczyku. Los Khnoumkhoufou na tamtym świecie był straszny: mógł jeść, napełniać żołądek, ale nie zaznał żadnej ulgi. Trzeba było go wyjąć z ziemi i odpieczętować.

Mróz przechodził przez kości Tuty, gdy myślał o wiecznem zatwardzeniu. Nie był głupi, więc czuł, że jest różnica między tym a tamtym światem, ale skąd można wiedzieć na czem ona polega?

II.

Przy wyjściu z ustępu, czekał na Tutę sekretarz Ani z dwiema nowinami: jedna że dziś koło południa, przyjmie go król kreteński, druga, — że przybył posłaniec z Egiptu z ważnymi wiadomościami.

Tuta wszedł po schodach na zalaną rannem słońcem terasę, która stanowiła dach części pałacu, przez niego zajmowanej. A kotka za nim; widać stąd było jak na dłoni cały gród-zamek ku czci siekiery — Labry-Labirynt; olbrzymi, z kredy, z wapna, z alabastru, w tem słońcu oślepiająco biali, jak świeżo spadły śnieg, lub rozpostarte na polu płótno lniane; wdali wążki pas bardzo niebieskiego, jak farbka, morza.

Tuta legł na łożu. Grzał się, pijąc prawdziwie egipskie piwo, woził je ze sobą wszędzie w glinianych szczelnie zamkniętych naczyniach i przegryzał ciastkami z lotosowych nasion, też był to przysmak egipski. Pił z własnego kubka, jadł z własnej misy, żeby nie zetknąć się z nieczystością tutejszego kraju: „djabły morskie miłe, to prawda, ale zawsze djabły“.

Kazał zawołać posłańca.

Posłaniec Amanapa-Ama, rodem z Sydonu, był na służbie egipskiej w charakterze skryby, przy namiestniku w Uruszałimie-Jerozolimie, stolicy ziem Chanaan. Urząd to był pośledni, ale dzięki rozumowi i uczciwości Amy, powierzano mu i ważne sprawy; w kancelarji królewskiej mówiono, że zajdzie daleko.

Powierzchowność miał pociągającą, spokojną powagę na twarzy, w głosie coś przekonywającego i lekki uśmiech na wązkich ustach, górna warga była wygolona, a od dolnej spadała broda, zwyczajem chanaanskim, ostro zakończona.

Wszedłszy na terasę padł na twarz, przypelzł na kolanach do Tuty i, jak przed chwilą Juti, powąchał, nie pocałował, rękę dostojnika. Podał mu dwa małe sepeciki z sykomorowego drzewa, opieczętowane królewską pieczęcią. Na nich było wypisane imię posła wedle nowego obyczaju, nie Tutankhamon, a Tutankhaton, gdyż dawnego boga Amona usunął nowy bóg, Aton.

Tuta otworzył sepecik z listami chanaańskich namiestników. Oryginały pisane na glinianych tabliczkach, babilońskiem pismem klinowem, przełożone były w kancelarji królewskiej na język egipski dla wiadomości posła, który przy widzeniu z królem kreteńskim miał też poruszyć sprawy chanaańskie.

Tuta przeczytał list Ribaddi, egipskiego namiestnika, w nadmorskiem mieście Kebenie-Byblos.

„Do mego Króla, mego Pana, mego Słońca, tchnienia mego życia, tak mówi Ribaddi; do stóp twoich po siedmiokroć padam na brzuch i na plecy. Niech Królowi memu wiadomem będzie: Aziru, mąż Amorejski, zdrajca, pies, syn suki, zaprzedał się królowi Chetejskiemu. Zgromadzili wozy i ludzi, by podbić twoje kraje.

Przez lat dwadzieścia prosiłem ciebie o pomoc, a ty nie pomogłeś. Jeśli i teraz nie dasz pomocy, opuszczę miasto, ucieknę i tem się zbawię, albowiem mocny jest król Chetejski; zajmie najpierw naszą ziemię, a potem i twoją. Niech wspomni król egipski na swego niewolnika, przyszłe mężów swoich, że-

byśmy ostać się mogli Azirowi-zdrajcy. Mój Królu, mój Boże, moje Słońce, daruj nam życie, ulituj się nam“.

— Ach, doskonale pisze, biedaczysko, — rozczulał się Tuta. — Łzy same płyną. No i cóż, poszła mu pomoc?

Ama westchnął ciężko:

— Nie, panie mój, zamiast wojska Aziru dostał wymówki.

Tuta uśmiechnął się:

— Cóż mu tam wymówki, takiemu zbójowi! Żal mi Ribaddiego, to wierny sługa. Ten lis Amorejski zje go — jak winne grono.

Ama znów klęknął:

— Błaga cię ze łzami o słówko o nim do króla.

— Napiszę, naturalnie, napiszę. Ale cóż z tego? Znasz odpowiedź: „Z nikim nie będę wojować, pokój lepszy od wojny“.

Tuta przeczytał list Abdichibby, namiestnika Jerozolimy:

„Khabirzy, dzikie bestje, zajmują miasta, grody królewskie, grabiąc je i paląc. Jeżeli nie nadejdzie wojsko, wszystkie miasta będą stracone. Jaszują rozbójnik spadnie z gór Libanu, jak lew na stado owiec; weźmie Uruszalim, gród boży, zbeszczeszczą go Khabirzy, nieczyści.“

Khabirzy — żydzi, małe koczujące plemię chanaanejskie, przybyło do Egiptu z błaganiami o pomoc; najpierw żyli spokojnie, potem, gdy rozmnożyli się jak szarańcza, ograbili swych panów i udali się na pustynię Synaj, pod wodzą proroka Moży-Mojżesza; czterdzieści lat błądzili na pustyni, a teraz zjawili się pod murami Jerozolimy. Mojżesz umarł, a nowy prorok, Jaszują-Jozue przywiódł ich do Chanaan, Ziemi Obiecanej.

— Jacy Kabilrzy? Czyżby ci nasi? — spytał Tuta.

— Ci sami — odpowiedział Amo.

— A — zbóje! Co za śmiałość! Ach! na tośmy głupcy czekali! Nie zgniotliśmy tych robaków, gdy był czas, teraz nam sadła za skórę zaleją!

Tuta zajrzał do listów innych namiestników. Wszystkie miasta, chanaanejskie: Tyr, Sydon, Gezer, Arrad, Askalon, Tunipa, Beyrut, Kadesz — błagały króla Egiptu: „Ulituj, pomóż! Z południa idą Kabilrzy, Cheteanie z północy; jeżeli nie dasz pomocy zginie Chanaan, Chanaan — mur Egiptu; złodzieje zrobią podkop i wejdą do domu.“

Tuta rozpieczętował drugą skrzyneczkę z listem swego przyjaciela i opiekuna, starego dygnitarza Azji.

„Raduj się, synu mój, że mieszkasz na wyspie Keftiu wśród Bardzo Zielonego, nie zaś na Czarnej Ziemi. Tu wszystko kipi, jak woda w kotle pod pokrywą, gotuje się zupka dla Kabilrów i Cheteanów przepyszna. Z nikim nie chcemy wojować — pokój lepszy od wojny; miecze przekują na pługi i już pługami, nie mieczami, rozbijają sobie głowy w bratobójczej walce o nowe bogi. Bogi kłócą się a kości ludzkie trzeszczą. Nie wracaj póki nie napiszę.

Takim jest list przyjaciela — Ama — wierny niewolnik. A przeczytawszy spal.“

Do listu dodany był listek papirusa z dwoma wierszami:

„Wszystko gotowe. Gdy nadejdzie twoja godzina, wracaj i bądź królem, zbawcą Egiptu!“

Podpisu nie było, lecz Tuta poznał charakter pisma Płamoza, pierwszego kapłana Amona. Spojrzał na wązki pas błękitnego morza nad białym pałacem, serce mocno mu zabiło, w głowie kręcić się zaczęło

tak, jak gdyby nagle poleciał, podobnie jak ten człowieczek z kości słoniowej na nitce, albo syn Dedala, na woskowych skrzydłach.

Bał się, żeby Ama nie zauważył, ale raczej by kotka zauważyła, bo Ama skromnie spuścił oczy i roztropnie milczał. „Tak, ten zajdzie daleko,“ zdecydował Tuta i zdjawszy pierścień z ręki włożył go na palec poślańca. Ama, ciągle milcząc, padł na twarz i obwąchał nogi dostojnika.

Tuta zrozumiał, że składa on hołd wschodzącemu słońcu, przyszłemu królowi Egiptu — Tutankhamonowi.

III.

Tutajże, na terasie, zaczął się ubierać na przyjęcie do króla. Przed lustrem z czerwonej miedzi, — okrągłe, ledwo spłaszczone, jak kula zachodzącego słońca — zręczny mistrz od tych rzeczy, podmalował mu oczy zielonem antymonium, powiększył ich długość niepomiarne długą linią, od kącika powiek nieomal do ucha, a pod dolną powieką nakreślił magiczną spiralę — „oko Horusa“, obronę od złego spojrzenia. Perukarz mierzył, na ogolonej głowie, peruki różnych kształtów: łukowate, stożkowate i spadziste. Tuta wybrał ostatnią, składającą się z trójkątów leżących, jedno na drugim, jak dachówki na dachu.

Balwierz podał mu dwa rodzaje bród, na tasiemkach, jedno na wzór brody Amona, z szorstkiej, czarnej, końskiej sierści, a drugie jak warkocz Ozyrysa, z jasnych włosów liwijskich kobiet. Tuta wybrał warkocz.

Szatni przyniósł białą, właśnie upraną i uprasowaną, szatę; co rano dostawał świeżą, z najcieńszego „królewskiego lnu“, „utkaną z powietrza“, całą kołyszącą się w fałdach; krótkie a szerokie rękawy ułożone na kształt piór, podobne były do skrzydeł, przód zaś silnie nakrochmalony, przeźroczysty, w tyśiące fałdek zbiegających się ku przodowi w kształcie piramidki, miał na swym szczycie błyszczącą

złotą, ostro-zakończoną, mordeczkę szakala, z rubinowymi oczkami.

W tej szacie białej, lekkiej, powiewnej — Tuta wyglądał jak obłok; tylko dmuchnąć a poleci.

Stary golibroda, Zaza, znany gaduła, spytał go, fryzując i perfumując ozyrysową bródkę:

— Czy Wasza Miłość słyszała w nocy ryk Byka?

— To nie był ryk Byka, ale grzmot.

— Nie, ryk Byka. Mówią, że w podziemiach pałacu, na uwięzi, jest Byk, a gdy rwać się zacznie, wtedy cała ziemia drży. To tutejszy bóg, dlatego widać rogi. Ale i tutejszy król to półbyk, i ciało ma ludzkie, a głowę zwierzęcą.

— Jak ty kłamiesz, głupcze! Pomyśl, czyż to możliwe?

— Bardzo możliwe, skoro to dziecko byka i kobiety...

I zaczął opowiadać bajkę; jak to byk wyszedł z morza, biały, niby piana, piękny, niby bóg; królowa w nim się rozkochała, kazała wystrugać z drzewa bardzo udatną jałówkę i weszła do jej pustego wnętrza. Zwierzę dało się oszukać; nieżywą jałówkę zapłodnił, jakby była żywą i urodziła królowa syna — potwora, półbyka, a półczłowieka.

Tuta najpierw słuchał, potem splunął i kazał mu milczeć.

— Nie wierzysz, sam zobaczysz — mrucał tajemniczo Zaza.

Skończywszy się ubierać Tuta, wsiadł do lektyki, trzcinowej kołyski, z okrągłą budką z tyłu, dla ochrony od wiatru.

Silni nubijczycy wzięli lektykę na plecy, dwóch ludzi z boku powiewało wachlarzami, a na przedzie

szedł przewodnik, sługa pałacowy, bez którego można zabłądzić.

Tucie zdawało się, że umyślnie idzie on krętą drogą, żeby zataić przed cudzoziemcami właściwy rozkład zamku; wiele było wejść i przejść, dróg i dróżyn, sieni, portyków, sal, komnat, cel; dachy nad dachami, ściany nad ścianami, kolumny nad kolumnami, schody bez końca, w dół i w górę. Wszystko to z gipsu, kredy, wapna, alabastru, oślepiająco-białe na słońcu, w cieniu opalowo-niepokojące, kręciło się jak wir, zwijało się w kręgi Labiryntu-nierozwikłanego.

Lektyka chwiała się i kołysała do snu, a Tucie się zdawało, że śni mu się sen, i że końca nie będzie temu dziwnemu, zawrotnemu, zwijającemu i rozwijającemu się, białemu majaczeniu.

Minęli maleńką, niby zabawka, kapliczkę, a w niej las glinianych rogów. „Ich bóg — Byk“, — przypomniał sobie Tuta.

Tu i ówdzie murarze poprawiali ściany i pułapy.

— Co to? — pytał, a za każdym razem otrzymywał odpowiedź:

— Było trzęsienie ziemi.

„Byk wyrывa się z łańcucha i ziemia drży“ — przypominał znów sobie. Chciał, ale nie mógł myśleć o spotkaniu z królem.

„Jakiż by on był?“ pytał sam siebie, ale zamiast ludzkiej twarzy, z półsennego, białego Labiryntu wyłaniał się pysk zwierzęcy.

Już przeszło od miesiąca czekał na widzenie się z królem: odkładano je, pod pozorem choroby. „Nie, nie chory, tylko wstyd pokazać ludziom głowę byka!“ pomyślał nagle Tuta, niby bredząc przez sen.

Weszli na szeroką przestrzeń, zalaną słońcem, gdzie wiele miedzianych siekier, Labr — godła boga

Byka ofiarowanego — paliło się płomieniem, a nad niemi, niby śnieżne płatki, gruchały białe gołębie, poświęcone Matce. Po białych, alabastrowych płytach, kręciły się falą, ciemno-niebieskie fajansowe ścieżyny, żeby te „djabły morskie“ i po ziemi chodzić mogły, niby po morzu. Lektyka zatrzymała się. Straż królewska, młodzieńcy podobni do dziewcząt, a może dziewczęta podobne do młodzieńców, oczekiwali posta, przy niskich, zamkniętych brązowych drzwiach; pomogli mu wysiąść, otworzyli drzwi i wprowadzili na królewskie pokoje.

IV.

Z nawpół ciemnej sieni, z rzędami kolumn cyprysowych wzorzyście malowanych, dziwnie zwężających się ku dołowi, weszli do niewielkiej komnaty — sali tronowej. Przez wysokie, wąskie jak szczeliny, okna, padało z zewnętrznego podwórza, — źródła jasności — tajemniczo-blade, niby podwodne, światło. Z kadzielnic płynął niebieski dymek, woń szafranu, powiększający tajemniczość mroku i przez to, jeszcze bardziej czarodziejskie, niby sen, zdawały się być mleczne, opalowe, alabastrowe ściany.

Na wewnętrznej ścianie były dwa jednakie freski: na polu pełnem lilij — olbrzymie gryfy z ptasiemi dziubami, lwiami łapami, ogonami węzów i grzebieniami pawów. Strzegły one jakby królewskiego tronu, wspaniale malowanego, niby bajkowy kwiat, którego falista linja oparcia przypominała liść dębu.

Tuta spojrzął na tron, zdumiał się i oczom nie wierzył. Otworzył je szeroko, ale wciąż widział to samo: na tronie siedział potwór, człowiek z głową byka.

Z początku sądził, że to coś nie jest żywe. Ale nagle poruszyło się, podniosło rękę, zrobiło ludzki ruch palcem i pokiwało głową. Bał się, iż za chwilę posłyszysz ryk byka, a wówczas za siebie nie ręczy: będzie krzyczeć, jakkolwiek naruszy dworskie obyczaje. Ale, — niech za to Amon-Aton będzie błogosławiony — to coś nie zaryczało, tylko dalej kiwało

palcem i wabiło; jakby pytając co to znaczy, spojrzął na siedzących na ławkach pod ścianą, też bardzo dziwnych ludzi: byli to starcy, w szafranowo-złotych szatach, o twarzach starych bab, żółtych i zniszczonych, zupełnie umrzyki. „Eunuchy królewskie“, odgadł Tuta, bo podobnych widział na dworze faraonów.

— Nie bój się, podejdź do Jego Królewskiej Mości — szepnął mu na ucho tłumacz.

Starając się patrzeć nie na głowę byka, ale na ludzkie ciało przebrane w szafranowo-złocistą haftowaną srebrnymi liljami, długą, niby kobiecą, suknię, Tuta podszedł do tronu. Przypomniał sobie, że jest wysłańcem wielkiego króla, a być może i sam — w przyszłości królem, postanowił okazać swoje dostojęństwo.

Poprzednio już przygotował i nauczył się na pamięć poselskiej mowy. Niepokoiła go jedna rzecz: etykieta kretańska wymaga, żeby monarchę nazywać raz „królem“, drugi raz „królową“, gdyż jest on w jednej osobie Mężem i Żoną, jak sam Bóg Adun. Nie mógł Tuta tego dobrze zrozumieć, ale przypomniał sobie, iż królowa Egiptu, Hatschopsitu, nosiła męską odzież i przyprawioną bródkę Ozyrysa, nazywała siebie czasem „królem“, a czasem „królową“ nabrał otuchy, że i tę trudność pokona.

Podszedłszy do tronu, mówił po egipsku a tłumacz przekładał mowę jego na język kretański:

— Wielki Król południa i północy, Akhenaton, Neferkheperura Ouaura — Radość Słońca, Przepiękne źródło Słońca, Jedyny Syn Słońca — także rече Wielkiemu królowi — królowej Keftiu: oby bóg Słońca Aton, promieniami swemi objął brata mego — siostrę moją i chronił ich po wieki wieków!

Z przyjemnością słuchał siebie. Szczególniej podobało mu się umiejętne pokonanie trudności wy-

nikające z dziwnego połączenia rodzaju żeńskiego z męskim.

Porwany swą wymową, już się zupełnie opanował i patrzył wprost na głowę byka: byk, czy nie byk, mniejsza o to, byleby powiedzieć, jak trzeba.

Dwóch podrostków, zupełnie do kobiet podobnych, podeszło do króla i zdjęło mu głowę. Znowu zadziwił się Tuta i dopiero teraz zrozumiał, że morda byka — to była maska.

Kapłani egipscy, też nosili maski bogów-zwierząt, ale odrazu widać było, że to nie prawdziwe oblicze, a udane, tutaj zaś te chytre dedale, zrobiły maskę tak dobrze, że zupełnie była jak żywa, nawet gdyby mrok komnaty nie pomagał złudzeniu.

Zresztą nie ucieszyła Tuty i ludzka twarz potwora, również taka babska, zwiędła jak siedzących pod ścianami eunuchów, a może jeszcze bardziej martwa: tamci wyglądali jakby przed chwilą wstali z grobów, a ten już od dawna.

Zdjąwszy z króla głowę byka, podrostki włożyły mu wieniec ze srebrnych lilij, z pawimi piórami.

— Niech cię błogosławi, Synu Mój, wielka Matka, i niech serce nasze z sercem naszego umiłowanego brata, wielkiego króla Egiptu, będzie jedno, jako jedno jest słońce na niebie, — mówił król po kretańsku, a tłumacz powtarzał to po egipsku.

Słuchając drżącego, babskiego głosu i patrząc na nadętą babską twarz, Tuta pytał się sam siebie: czy to mężczyzna, czy kobieta? Gubił się w domysłach, przypominając sobie, że dwunastu podobnych do kobiet podrostków nazywano „narzeczonymi króla“ a dwanaście, do mężczyzn podobnych dziewczę „narzeczonymi królowej“. Niby umyślne pomieszanie, żeby nie można było się zrozumieć — nierozwiązana zagadka Labiryntu

V.

Na dany przez króla znak wszyscy wyszli. Gdy został sam z ambasadorem, zaczął po egipsku:

— Siadaj, mój synu! Bliżej, bliżej, tu — rzekł wskazując miejsce. — Jestem szczęśliwa, że cię widzę.

Tuta dobrze słyszał: on, ona, czy też ono, mówiło o sobie w rodzaju żeńskim.

— An k e m m a a t. Ten co żyje w prawdzie: — wszak tak tytułuje siebie brat mój, król Egiptu?

— Tak, panie.

— A jeśli tak, — ciągnął król, — kochajmy prawdę, my też. Prawda jest jako słońce, nie ukryje jej żadna maska. Podniosłem moją, podnieś i ty swoją, ty też. Bądźmy szczerzy, mój synu!

Uśmiechnął się chytrze i nagle zmarły ożył. W jego małych, szarych, przenikliwych oczach błyszczała taka mądrość, że zdawał się widzieć o pół łokcia pod ziemią: to był najchytrzejszy z chytrych, największy dedal — pomiędzy dedalami.

— I cóż, jak idą sprawy w Chanaan? Źle? Nie ukrywaj nic, nie bój się niczego, wiem wszystko.

Z pytań, które zadawał, Tuta zrozumiał, iż rzeczywiście wiedział wszystko. Mówił chłodno, z rozumą, lecz chwilami dziwny ogień zapalał się w jego oczach i wówczas Tuta przypominał sobie, co słyszał o nim.

Królowa Velkhana miała dwóch synów, starszego Idomina i młodszego Sarpedomina. Gdy młodszego

ogłosiła jako swego następcę, starszy porozumiał się z przywódcami ludu, znużonymi panowaniem kobiet. „Dość już kobiety nami rządziły, czas, żeby na nas przyszła kolej“ — wołali, podburzając tłumy. Z ich pomocą Idomin obalił królowę, uwięził ją, a potem zamordował. Chciał również zabić brata, ale ten uciekł.

Zdobywszy tron, Idomin był łagodny i pobłażliwy, w każdym razie wydawał się być takim, lecz chwilami miewał napady szału: czasem wyrzuty sumienia dręczyły go tak okrutnie, iż pragnął pozbawić się życia, niekiedy w ataku furji, rzucał się na ludzi, jak Minotaur, człowiek-zwierzę, którego nosił maskę, podobnie jak wszyscy następcy Minosa, króla Byka.

— Dlaczegoż więc król nie posyła swych wojsk do Chanaan? — pytał Idomin.

Tuta przewidywał to pytanie, lecz nie miał ochoty na nie odpowiadać.

— Król Egiptu nie chce wojny. Pokój, powiada on, więcej jest wart, niż wojna... — Zaczął Tuta, lecz urwał, czując głupotę takiej odpowiedzi.

— Jakże to, nie prowadzić wojny? — zapytał Idomin zdumiony. — Król nie walczyłby nawet, gdyby zajęło jego kraj?

— Może nie, — znów zaczął Tuta i zawstydzony pośpieszył dorzucić:

— Niezbadane są myśli króla, podobne jak myśli Boga. Niemniej sądzę, że broniłby się, gdyby nieprzyjaciel go zaatakował.

— Ależ nieprzyjaciel już go zaatakował: Chanaan jest ziemią królewską. Czegoż więc czeka?

— Nie mnie, niewolnikowi, sądzić mego pana. Jego Królewska Mość — wie lepiej, niż ja, co czynić — odparł Tuta pokornie.

Idomin w milczeniu spojrzał w głąb jego oczu. Poczem nagle, pochylił się, dotknął jego czoła palcem i szepnął na ucho:

— Czy król jest zdrow?

— Jako słońce na niebie! — obojętnym głosem wypowiedział Tuta sakramentalne zdanie, mimowoli spuszczać wzrok: małe, świdrujące oczka Idomina kłuły go, niby szpilki i gdy podniósł oczy, tamten wyczytał w nich niemą odpowiedź.

— Chwała Wielkiej Matce! — oby chroniła brata mego w dobrym zdrowiu, przez wieki wieków! — odparł, używając też, sakramentalnej formuły. Ale zrozumieli się bez słów: król egipski jest obłąkany.

— Tak, pokój więcej wart niż wojna, — podjął znów Idomin, cicho, głosem rozmarzonym, jak gdyby mówił do siebie. — Wszyscy ludzie są braćmi, synami jednego ojca niebieskiego, słońca Aton-Aduna. Nie prowadzić więcej wojen, miecze przekuć na pługi, ach, gdyby tak mogło się stać! A jednak tak było na początku dni, bo mówi się w prastarych pieśniach:

Pierwsi ludzie nie znali co znaczy bóg wojny,
[zabójstwa,

Znali jedynie ją, Mac miłosierdzia, dziewicę,

Krwia zabijanych ofiar nie kalali świętych ołtarzy

Wszystko na ziemi łagodą dyszało i ptaki

[i zwierza

Do ludzi spieszyły z pieszczotą i płomię miłości

[żywiły.

Tuta z ciekawością patrzył na Idomina. „Stawi Matkę Bogów, on który zabił własną matkę“, myślał, ale rzecz dziwna, nie był wcale oburzony, jak gdyby oczarowała go wizja Złotego Wieku.

— Tak było i tak będzie. Przeklęty niech będzie Amon, bóg wojny, błogosławiony niech będzie Aton, bóg pokoju! Tego właśnie pragnie Akhenaton, Radość słońca. Czyż nie tak, mój synu?

— Znasz więc naukę króla? — spytał Tuta zdziwiony.

— Jakże bym mógł jej nieznać? A nas Adun, a u was Aton — to jeden i ten sam Bóg.

— Nie ma innego Boga nad Atona, jest jedyny u wszystkich ludów, — powtórzył Tuta, obojętnym głosem, jak uczeń nudną lekcję.

— Czy król ma wielu zwolenników? — spytał Idomin.

— Tak, wielu, na dworze i w Akhetatonie, nowem Mieście Słońca.

— A w innych miastach?

— W innych miastach ma ich też dość.

— Ale niewielu?

— Tak — mniej.

— A lud?...

— Lud wierzy w dany bogów.

— Nie chce nowych, buntuje się?

— Nie, u nas są surowe kary na zbuntowanych.

— Karze się, ich śmiercią?

— Tak.

— A czy król wie o tem?

— Poczoby miał wiedzieć?

— A przecież nie można wszystkich skazać na śmierć?

— Nie, oczywiście.

— Niestety! — westchnął smutnie Idomin. — Żle dla króla, gdy nie jest ze swym ludem, gdy jest sam, przeciw wszystkim... Jak myślisz, synu, kto jest silniejszy, jeden czy wszyscy?

— Wszyscy — odparł Tuta z przekonaniem — a nagle połapawszy się, pomyślał: pocóż mi on zadaje te dziwne pytania?

— Współczuję memu ukochanemu bratu! — westchnął Idomin, jeszcze bardziej zasmucony. — Niema dla niego, ratunku: zgubi sam siebie i zgubi innych. Żli i głupi są ludzie: nie mogą żyć w pokoju, muszą więc prowadzić wojny. Wojna dla nich więcej warta, niż pokój. Jak myślisz, mój synu, czy zawsze będą wojny?

— Zawsze, — nie mógł się opanować Tuta, znowu szczerzy.

— Jeśli tak jest, to Aton nie zdzierży przeciw Amonowi, — ciągnął Idomin. — Wielki jest prorok Akhenaton, nie było nigdy większego pomiędzy ludźmi, ale mali pożrą wielkiego, wszyscy zwyciężą jednego... „Ludzie pożywają ciało moje“ — czy wiesz, o kim to powiedziane?

— O Tajemniczym, czyje imię Nienazwane, — odparł Tuta, dalej tonem ucznia recytującego nudną lekcję. Przypomniawszy sobie, że tak się mówi o Ozyrysie, w Księdze Umarłych.

— Tak, o nim, o wielkiej Ofierze, ofiarowanej od początku świata, Akhenaton, Ouaënną — Radość Słońca, Jedyny syn Słońca — to on! — wykrzyknął Idomin i oczy jego nagle zabłyśły ogniem tak dziwnym, prawie błędnym, że Tuta się przestraszył.

Chwała Ojcu Nienazwanemu!

Chwała Synowi ofiarowanemu!

Chwała Tobie, Wielka Matko!

mówił król po kreteńsku, wznosząc pobożnie ręce ku niebu.

Poczem, nagle, pochylił się i szepnął mu na ucho:

— Czy chcesz zostać królem?

Tuta zadrżał, cofnął się.

— Nigdy nim nie będę.

— Dlaczego?

— Jest inny następca, Zaakera, mąż najstarszej córki króla.

— On — dziś, a ty jutro.

Małe przenikliwe oczka wchodziły w niego, niby ostre końce szpilek, rozpalonych w ogniu.

— A gdy ty będziesz królem, to nie powiesz: „Pokój wart więcej, niż wojna?“

— Po co myśleć o tem, czego nigdy nie będzie? — westchnął Tuta, i nagle twarz jego zapłonęła, dłonie zacisnęły się. — Ach, gdybym został królem, dałbym sobie radę z całą tą hołotą?

— Jaka hołota?

— Z nieczystymi Kabirami, z rozbójnikami Che-
neanami.

— Nie ich należy się bać.

— Kogóż więc?

— Ludzi z północy. Ludzi żelaza. Czy słyszałeś o nich?

— Tak, Danauni, Dardanyni, Iliuni, Pułazati, Akkawasi — odparł Tuta, wyliczając szereg plemion nawpół dzikich i bajecznie dalekich jeszcze od Egiptu: Danajów, Dardanejów, Trojańczyków, Pelasgów i Achajów.

— Czyś też słyszał o moim bracie Sarpedominie?

— Tak. Zdaje się, że schronił się właśnie u nich, u Ludzi Żelaza?

— U nich. Chce ich prowadzić przeciw mnie, żeby zemścić się za matkę. Ale Wielka Matka świadkiem, że na rękach moich nie ma śladu krwi rodzielskiej. To nie ja, to on ją zabił. Niech będzie po

trzykroć przeklęty! — mrucał Ildomin, blednąc z gniewu; ręce miał wyciągnięte i cały się obrócił w stronę drzwi, jak gdyby za nimi stał jego brat.

— Biada nam, jeśli przyjdą Ludzie Żelaza, biada najpierw nam, a potem wam. Wszystko zniszczą, wszystko wyplenią, kamień na kamieniu nie pozostanie. Ludzie żelaza przyjdą w nocy, i będzie to noc żelaza — koniec świata.

— Cóż więc czynić? — spytał Tuta.

— Być razem, — razem ocalimy świat. Mnie ziemia — tobie morze. Chcesz?

— Tak — wyszepnął Tuta i gdy przymknął oczy znów zdawało mu się, że leci.

Król podniósł się z tronu, zbliżył do niego, i kładąc ręce na jego głowie, powiedział uroczyście:

— Ciesz się, bracie mój umiłowany, królu Egiptu, Tutankhamonie!

PAZYFAE.

I.

Na arenie w Knossos święcona tauromachje.

Ponad owalną areną, wysypano piaskiem, amfiteatralnie wznosiły się ławy, wykute w skale wzgórza, łagodnie opadającego. Po środku stopni, rozciągnięty na złożonych drzewcach, ozdobionych podwójną siekierą z brązu, widniał purpurowo-fioletowy namiot królewski. Nad nim błyszczała olbrzymia głowa byka. Niższe części ław spoczywały na cyprysowych słupach, pomiędzy którymi były ciemne przejścia wiodące do klatek byków.

Z jednej strony, błękitniał wąski pas morza, z drugiej, mgliste kształty Keratejskiej góry, podobnej do zwróconej ku niebu twarzy olbrzyma, do samego boga Adun-Adonisa, na cześć którego odbywały się igrzyska.

Rozpoczęły się one od tańców Kuretów, kapłanów Aduna, piastunów Dziecięcia-Boga. Matka je im powierzyła, aby syna uchronili od wściekłości ognia pożerającego. Ukryli Dziecię w grotcie, na górze Dyktejskiej, gdzie je koza mlekiem swem karmiła, pszczoły miód przynosiły; Kureci otoczyli je, zagłuszając tańcami, tupotem nóg, brzęczeniem tarcz i mieczów, płacz dziecka, aby Ojciec nie odnalazł Syna i nie pożarł go. Ale wieczny Ogień znajdzie zawsze i zawsze pochłonie wieczną Ofiarę.

Tancerzy zrozpaczeni śmiercią Boga, uderzali się mieczami tak mocno, że na białym piasku, tryskała ich krew, niby rosa szkarłatna.

Nagle jeden z nich padł w konwulsjach z pianą na ustach inni pośpieszyli ku niemu i spełniła się straszliwa tajemnica: Obrzezał się on krzemiennym nożem, wołając:

— Chwała Adunowi, Dziewicy-Młodzieńcowi!

A tłum widzów, niby jeden mąż powstał z okrzykiem:

— Io Adun — io Adun — raduj się Młodzieńcze-Dziewico!

Po szalonym tańcu Kuretów nastąpił milczący taniec kapłanek Księżycy. Ubrane w przejrzyste tkaniny, niby obłoki miesięczne, prześlizgiwały się jak cień księżycy, po chmurach nocnych; łagodnie snuły labirynt księżycowych płasów, spletały koło Pazyfae. Wszystkim Świącącej, Pełni księżycy. Tańczyły nieskończone koło powrotu, co ożywia wszechświat cały; przez nie sok krąży w winnych gronach i fale płyną z głębin morskich, ono wiję pukle włosów dziewiczych i obraca słońca nocne; gdyż wszystko się kręci, w wieczystym kręgu obraca.

I znów — niby jeden mąż, tłum w milczeniu zatrzymał oddech, czując obecność Boga.

Gdy o zachodzie dwa czerwone ognie — dwa rogi byka nad namiotem królewskim, zagasły, i gdy ponad różowym szczytem Keratyjskiej góry, zbladły dwa złote rogi księżycy na nowiu, rozpoczęły się walki byków. Podniesiono łańcuchy krat i wypadły byki dzikie, białe, czarne, rude, ociążałe od tłuszczu, o olbrzymich rogach, strachliwie piękne, pierworodne dzieci stworzenia, boscy synowie Matki-Ziemi.

Znudzone długiemi staniem, cieszyły się wolnością, biegały, skakały jak gdyby i one tańczyły taniec

boga Aduna, Niebieskiego Byka. Czuć było zapach obory, ciepło nawozu; podniósł się kłęb pyłu, niby dym pożaru; ziemia drżała pod kopytami zwierząt a ich ryk rozlegał się, jak odgłos podziemnego grzmotu.

Zjawili się mężczyźni i kobiety, zabawnie mali pośród olbrzymich zwierząt, niby dziewczynki i chłopcy. Byli to akrobaci, tancerzy i tancerki, nadzy, na nogach mieli rzemienne półbuciki, wcięci w pasie jak osy, okrągłym paskiem miedziano-skórzanym z małym skórzanym fartuchem. Wszyscy mieli podobne ciała: ciemne, gibkie, chude, muskularne, także same, zaledwie zarysowane piersi, że nie można było odróżnić chłopców od dziewczyn.

Zaczęli tańczyć z bykami dziwny taniec. Gdy wściekle zwierzę szło zdala, ze spuszczoną głową, człowiek nieruchomy, czekał i tylko jakby pod wpływem wyższego instynktu, cofał się odrobinę, chwycił rogi, gotowe zagłębić się w jego ciało i korzystając, że byk opuścił głowę, żeby go nadziać, skakał na plecy zwierzęcia z niepojętą zręcznością.

Otworzyła się ostatnia krata i wypadł byk, największy, najbardziej dziki, ten którego złowiono na górze Idy, w czasie ostatniego polowania w którym Dio i Tammuzadad wzięli udział. Był biały, jak piana morska, piękny jak bóg — wychodzący z błękitnego morza z pianą rozszeptanych fal, bóg — Byk, ukochany Pazyfae.

Poraz pierwszy wypuszczono go na arenę, przez trzy dni dręczono pragnieniem, gdyż inaczej nikt nie dałby z nim sobie rady.

Na arenie, pod namiotem królewskim, stało wielkie dębowe koryto. Przechodząc tam, zwierzę poczuło wodę, zatrzymało się, wyprostowało na tyl-

ných nogach, położywszy przednie na brzegu koryta, zanurzyło pysk i chciwie piło.

Ponad korytem, między dwoma masztami, rozciągnięto gruby sznur. Piętnastoletnia dziewczynka, zgrabna jak wiewiórka, wdrapała się na jeden z masztów, biegła wzdłuż sznura, zatrzymała się naprzeciw byka i nagle, głową naprzód, z wyciągniętymi rękami, rzuciła się, jak pływak rzuca się z wysokości do wody. Jej nagie, wpół dziecinne, wpół dziewicze ciało, cienkie jak strzała, przeszło powietrze i serce nawet najbardziej nieczułego widza zadrżało: najmniejszy błąd w locie, a olbrzymie rogi byka przekłułyby ją jak miecze. Ale skok był dobrze obmyślany; dziewczyna spadła zdrowa i cała między rogami.

Zwierzę opuszczając koryto ruszyło głową. Skakało z wściekłością, chcąc się pozbyć tancerki. Ale ona mocno trzymała się rękami i nogami, jeden róg miała pod łopatką, drugi między nogami i tak zawieszona, huśtała się jak na huśtawce — igrała ze śmiercią.

Nagle przeskoczyła na grzbiet zwierzęcia, wyprostowała się i zleciała na ziemię. Byk nie miał czasu do niej wrócić, bo już druga tancerka skoczyła na niego, wyciągnęła ręce do pierwszej, podniosła ją, rzuciła poprzez siebie na plecy zwierzęcia i z kolei sama znalazła się na ziemi; znów pierwsza była na byku, przerzuciła przez siebie drugą i tak jedna po drugiej, latały, fruwały ciągle, w białym obłoku pyłu, unosiły się jak jaskółki.

Z namiotu królewskiego dały się słyszeć głucho oklaski. Obyczajem miejscowym nie bito dłonią o dłoń, lecz palcami o palce. Cały tłum odpowiedział takimiż samym cichym zachwytem:

— Nofert, nofert! Ślicznie, ślicznie! — chwalił Tuta. Jak oni uśmiechają się do siebie? Zakochani są w sobie, nieprawdaż, — pytał Tammuzadada, siedzącego obok niego w królewskiej łóży.

— Zakochani? — kupiec uśmiechnął się swym ciężkim, kamiennym uśmiechem. — Cóż ty myślisz?

— Myślę, że taki ładny chłopiec i taka ładna dziewczyna...

— Czy masz wzrok krótki, panie, czy też pył nie pozwoli ci widzieć? To nie chłopiec i dziewczyna...

Tuta spojrział uważniej.

— A tam do licha! — zaklął, śmiejąc się cicho i patrząc w stronę, gdzie wśród eunuchów siedział potwór z głową byka, — król — królowa Ildomin. — Dziwni ludzie! Nie można u nich odróżnić kobiety od mężczyzny!

Tammu też się uśmiechał. Lecz gdy dotknął lnianego bandaża na szyji, twarz jego tak się boleśnie skurczyła, że Tuta spytał:

— Wciąż cię boli?

— Wciąż — odparł Tammu i przypomniał sobie, jak wówczas, w tę okropną noc, w grocie Matki, czołgał się na kolanach ku złoto-szafranowej zasłonie „Ten, kto podniesie zasłonę z mej twarzy, umrze!“ On ją podniósł — umarł. I jeszcze teraz umiera. Przy świetle księżyca, pod tysiącem spojrzeń, to nagie ciało dziewczyny, ni to męskie, ni kobiece, jedno i drugie zarazem, było mu równie, jak wówczas, strasznie. „Kimże ty jesteś, kim jesteś, Lilith?“

— Czy znasz te dziewczęta? — pytał Tuta.

Tammu milczał, jak gdyby nie słyszał pytania, wstał i wyszedł. Jeden z eunuchów odpowiedział za niego:

— Starsza to Dio, córka Aridoela, a młodsza Eoja, córka Itobala.

Zapadł mrok. Błyszczące na niebie rogi księżycy rysowały już na białym piasku areny czarne cienie rogów byka, gdy trąba, muszla trytona ogłosiła koniec igrzysk. Zwierzęta powróciły do swych leży, łagodniejsze prowadzono na kolcu przewleczonym przez nozdrza, inne pojmano na arkan.

Przed lożą królewską, na pustej już arenie zgromadzili się tancerze i tancerki, czekając kogo król obwoła zwycięzcą turnieju. Na trzydziestu — tylko trzech wyniesiono rannych, nikt nie był zabity; uważano to za zły znak, Bóg nie przyjął ofiary, a głównym celem igrzysk było złożenie ludzkiej ofiary.

Przez purpurowo-fioletowe firanki królewskiego namiotu przelewało się ametystowe światło pochodni, rozsunęły się one odrobinę i ukazał się byczy pysk króla. Prócz najbliższych i eunuchów nikt nigdy nie widział jego ludzkiej twarzy, ani nie słyszał jego głosu. Nawet na widok byczej mordy ludzie zakrywali sobie oczy rękami w świętym strachu, gdyż zobaczyć boga — znaczy umrzeć. Szept cichy, jak szmer drzew w nocy, przeszedł przez tłum:

— Łaski — Władco — Władczyni!

Ktoś, z za pleców króla, zawołał w nagłej ciszy:

— Raduj się Eoja, córa Itobala!

Zwycięzcy zbliżyła się, padła na twarz i wianek szafranowych kwiatów zleciał na nią z namiotu.

Nie spełniła się krwawa ofiara, ale spełni się — bezkrwawa, wieńcem szafranowym uwieńczona została naręczona Słońca-Byka, bogini Pełni Księżyca Pazyfae Wszystkim Świecąca.

— Raduj się Eoja — córo Itobala! Raduj się, — kochanko Boga! — powtarzali widzowie.

II.

— Nie bój się, nie uczyni ci nic złego.

— Ja wiem, nie tego się boję.

— A więc czego?

— Czy można powiedzieć, nie będziesz się gniewać, kochana Pszczółko?

— Nie, mów.

— Boję się... Poczekaj, powiem ci na ucho. Boję się, że będą się śmiać.

— Śmiać?... A więc się nie boisz?

— Nie, boję się. A jednocześnie mam ochotę się śmiać. Wiesz przecież, z drzewa, na kółkach, a wydaje się być żywa; ale nie może sama chodzić, więc będą ją z tyłu popychać. Kółka będą pisać, a ja będę się śmiać... Niewolno, prawda?

— Nie.

— Więc widzisz. A gdy zabroniono, to się jeszcze więcej chce śmiać, nie można się wstrzymać, jak wtedy, gdy ktoś łaskocze. Będę we wnętrzu Jałówki; — w oczach ma dziurki, można przez nie patrzeć, — on zbliża się, pocznie wachać, skakać, stanie naprzeciw, pysk w twarz, a ja będę się jeszcze śmiać, w sam nos Boga...

— A więc śmiej się, bez obawy. Bóg lubi śmiech dzieci, on sam, jak one, dobry i prosty.

— Wobec ludzi to zabronione, a wobec niego — wolno?

— Tak. On jest mądry i dobry; on wie wszystko.

— To prawda, wie wszystko. Przed chwilą, gdy zaniósłam mu świeżej słomy do obory, patrzył na mnie tylko jednym oczkiem, bałam się go, on wszystko wie, ale nic nie mówi...

— Tej nocy, powie ci wszystko. Wierzysz?

— Tak. Gdy wejdę w łono Jałówki, jak zmarli wchodzą w łono ziemi, będę wszystko wiedzieć, — wygłosiła Eoja z zapalem i przypomniła sobie to, co jej opowiadała Egipcjanka Zenra, mamka Dio.

Córka króla egipskiego, Menkaoura, umierając w lat kwiecie, mówiła do swego ojca: „Nie kładź mnie do wilgotnej ziemi, gdzie będę się nudzić, lecz schowaj mnie w swym pałacu i wynoś od czasu do czasu na słońce, żebym nawet, umarła, widziała żyjące gwiazdy!”

Tak też uczynił Menkaour. Włożył zabalsamowane ciało córki we wnętrze jałówki, Hathor, wyrżniętej z drzewa sykomorowego, ozdobionej złotem i purpurą z dyskiem słonecznym między rogami; umieścić ją w swym pałacu, w ciemnej komnacie, oświetlonej dwoma kagankami, i raz do roku w dzień płaczu Ozyrysa, wynosić ją kazał na podwórzec, otwierał okienko, umieszczone na grzbiecie, żeby promień słońca padał na twarz zmarłej, gdyż nawet zmarłym miło jest widzieć słońca żyjące.

— Raduj się, Eoja — powiedziała Dio, modlitewnie. Będiesz we wnętrzu Jałówki, jak zmarły w łonie ziemi i jak dziecko we wnętrzościach matki; umrzesz i urodzisz się dla życia wiecznego!

W małej celce drewnianej, ciasnej i ciemnej, jak trumna, przesiąkniętej zapachem obory, ciepłem nawozu, Dio, kapłanka stroiła w białą szatę Eoję, nowicjuszkę, i mała ją białymi kwiatami szafranu, niby narzeczoną w dzień ślubu.

Patrząc na nie, łatwo się było jak Tuta pomylić: chłopiec i dziewczyna! Wobec Dio Eoja wyglądała na dziecko: ciało jej było szczupłe, zbyt giętkie, niby łodyga wodnej rośliny, rude włosy nadmiernie delikatne, z matowemi odbłyskami starego złota, różowa krew przeświećlała, przez białość zbyt przejrzystej skóry; w około oczu miała dziecinne piegi. Ale w jej ciemnych oczach był już smutek i była już namiętność kobiety.

Gdy Dio przed chwilą powiedziała: „Umrzesz” jakiś ból znany, — wieczne wyrzuty sumienia i nieskończona litość — napełniły jej serce. Objęła Eoję i pocałowała ją w oczy, czując, że ta oddawała się jej cała, jak oddaje się delikatna alga kołysaniom głębokiej fali. Dziewczynka odrzuciwszy głowę, zamknęła oczy pod tym pocałunkiem i blask księżyca padł na jej twarz, że zbladła jak martwa.

Co z nią czynię? — myślała Dio ze strachem. Czy narzeczoną gotuję do ślubu, czy też ofiarę na poświęcenie?

Z dala słychać było grzmienie cymbałów i jęk fletów. Dio i Eoja przez ciemne słopnie zeszły na arenę, w tym świetle księżyca olśniewająco białą.

Z głównej bramy, pod namiotem królewskim, wyszła procesja kapłanek księżyca. Na głowie miały spiczaste tiary, suknie wycięte aż do pasa, odsłonięte piersi, szerokie spodnice w formie dzwonu, pełne marszczonych falbanek z przodem haftowanym srebrem na złotym polu, w gałązki szafranowych kwiatów; one same, w tej dziwnej odzieży, lśniącej srebrem i złotem księżyca, podobne były do bajkowych księżycowych kwiatów.

Przyprowadzono Jałówkę, na kółkach, olbrzymią wystruganą z drzewa cyprysowego, pokrytą prawdziwą

skórą białej krowy; postawiono ją na środku areny i złożono przed nią trzy emblematy: dwuramienny topór z brązu, symbol Syna ofiarowanego, dwa gliniane rogi byka, z trzema między nimi winnymi latoroślami. Drzewo życia — symbol Ojca nienazwanego, trzy kolumnienki gliniane, na jednej podstawie, z trzema gołąbkami, symbol Dziewicy-Matki. W ten sposób trzy razy powtarzała się tajemnica boskiej liczby — Trójca w Jedności.

Stara, czcigodna kobieta, matka Anahita, mistrzyni zabaw, zbliżyła się do Eoji, wzięła ją za rękę: zaprowadziła do Jałówki i spytała:

- Czyś się nie skalała krwią ludzką?
- Nie skalałam.
- Czyś się nie skalała pożywieniem zwierzęcia?
- Nie skalałam.
- Czyś się nie skalała stosunkiem z mężczyzną?
- Nie skalałam.
- Wejdź tedy do łóża ślubnego. Raduj się,

kochanko Bogów.

Na grzbiecie Jałówki znajdował się otwór, Eoja weszła po drabince, zeszła do pustego wnętrza i zasunęło rygle.

Zajęczały flety, zagrzmiały cymbały. Kapłanki Księżycy ślizgając się cicho, jak cienie po nocnych chmurach, otoczyły Jałówkę, ogarnęły ją kręgiem niby kwiaty księżycowe i rozpoczęły śpiew weselny dla narzeczonej Słońca-Byka, Pełni Księżycy, Pazyfae, Świetlistej:

Wesel się, czysta dziewico
 Gotuj weselne leże.
 Żar niebiańskiego gniewu
 Niech od miłości cię strzeże.
 Czy słyszysz, czysta dziewico,

Buhaja ryk!
 Byk, byk, byk, byk
 W boskiej Jałówki łonie
 Miłośnie ciebie pokryje.
 Tobie śpiewamy,
 Ciebie chwalimy
 Od Boga wybrana
 Bogu ofiarowana
 Dziewico-Matko niewypowiedziana!

Chór oddalił się, hymn urwał się, a na pustej arenie zapanowała księżycowa cisza.

Nagle na białym piasku zadrgały cienie czarnych rogów. Biały, niby biała piana mórz w blasku księżycy, Byk zbliżył się do Jałówki.

Eoja leżała wyciągnięta na miękkim pościu świeżo skoszonych traw, w trumnie z cyprysowego drzewa, o żywicznym zapachu, do której sztucznie dochodziło świeże powietrze. Patrzyła przez dziurki oczu i zobaczyła pysk byka tak blisko, że zwierzę zdawało się oddychać jej w twarz i patrzeć na nią wprost. Ani bała się, ani też śmiała się, zaledwie uśmiechnęła się: „Jaki on wielki a przecież czuć go mlekiem, jak małe cielątko“. I przypomniał sobie, nie wiedzieć dlaczego, ostatnie spojrzenie poświęconych ofiar, serce jej ścisnęło się bólem zwanym — wiecznymi wyrzutami sumienia i nieskończoną litością — a w tejże chwili słodką, jak słodka jest jasność, Wszystkim Świecącą; zrozumiała, że Bóg jest w ofierze.

Byk oddalił się od Jałówki; mędrzy niż myśleli ludzie, poczuł, że nie jest ona żywą.

Sennie przeszedł przez arenę, położył się na ziemi, podniósł oczy, z głuchym pomrukiem, jak gdyby wzdychał z miłości do Wszystkim Świecącej,

Ukochanej, zamknął oczy pod jej pocałunkiem i zasnął słodkim snem zwierząt i bogów.

Eoja też usnęła we wnętrzu Jałówki, śniła, że pocałował ją w oczy Młodzieniec-Dziewica, i że pod pocałunkiem jego — jej umierała, rodząc się do życia wiecznego.

III.

— Dio będzie ciebie kochać, tylko trzeba zabić suczkę — mówił do Tammu, kupca żelaza, wuj Dio, Kinir, syn Uamara, starzec powszechnie poważany, który posiadał w Knossos, może najbogatsze składy wina i oliwy.

— Jaką suczkę? spytał Tamu?

— Eoję.

— Dlaczego ją zabić?

— Żeby uwolnić Dio od uroku. Eoja rzuciła na nią czar. Czyż nie zauważyłeś, że są zawsze razem, niby zakochani? — Czarownice mają potężne czary.

— Eoja jest czarownicą?

— Naturalnie — za każdym razem, gdy obok niej przechodzę, pluję. Wiedz o tem: tak długo jak ta dziewczyna żyć będzie, nie będziesz mieć Dio, jak nie widzisz swych uszu.

— Ale jak ją zabić?

— Nie troszcz się o nic. Powiedz tak, a wszystko będzie zrobione.

— Nie, najpierw mi powiedz, jak to uczynisz?

— Przysięgnij, że mnie nie zdradzisz.

— Daję ci słowo.

— Oto jak uczynię: Posmaruję łapę komuś ze służby, żeby dał bykowi upajający napój, i gdy Eoja będzie na nim tańczyć, w napadzie wściekłości, przebodzie ją rogami. Nie będzie w tem niczyjej winy, jeno ofiara miła Bogu.

— To bardzo proste! Ale gdyby się dowiedziano?
 — To mnie ukarzą — nie ciebie.
 — Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu?
 — Dla Dio. Ona nie znajdzie lepszego męża od ciebie.

— Tak bardzo ją kochasz?
 — Tak. Niema nikogo na świecie, prócz mnie, biedna sierota, bez ojca i matki.

Tammu uśmiechnął się przypominając sobie, co opowiadała mu Zenra, mamka Dio: raz w nocy staruch zakradł się do komnaty Dio, chciał ją zbeszczęścić, ale ona zbiła go jak psa, ledwie nie zabiła.

— Tylko dla niej to czynisz?

— Nie, dla ciebie też.

— A czemu ja jestem dla ciebie?

— Jesteś wielkim człowiekiem, Tammuzadadzie, Synu Istaroamana, znalazłeś żelazo, a żelazo zwycięży świat. Kupcze weź mnie na współnika: razem posłemy okręty po żelazo. Powiedz: tak, a Dio będzie twoja. — Więc coś powiesz?

— Nie, chcę się jeszcze namyślić.

Eoja, urodzona w północnej Tracji, należała do plemienia Edonów, sąsiadujących z Pelazgami, Achajami, Danajami i innymi Ludźmi Żelaza.

Kobiety i dziewczęta edońskie, przebiegały lasy i góry, wśród nocnych tańców, szalonych orgji, opętane przez Zagreusa — Bacchusa, rozszarpanego Boga, żywcem rwały na kawały ciele lub jagnię, pożerając surowe ciało i pijąc gorącą krew, aby złączyć się z Bogiem.

Razu pewnego, po całonocnych tańcach, zbiegły na brzeg morza i opadły, wyczerpane na ławicę piasku, niby gromada ptaków, zmęczona burzą. Zasnęły snem kamiennym.

Fenicjanie, podstępni goście z za morz, krążąc wzdłuż wybrzeża z daleka dojrzelili śpiące kobiety, cicho przybili do brzegu i już wciągali je na okręty, gdy na głos krzyków niewieścich przybiegli pasterze z sąsiednich dolin, odbili wszystkie, prócz jednej, Zemli, córki Ogia, wodza Eonów.

Pojmana Zemla broniła się jak ptak w sieci: Chciała się zabić, lecz poczuła w swem łonie drgnienie dziecięcia i postanowiła żyć dla niego. Zdawało się jej, iż w wizji sennej, poczęła go z jakimś bogiem, zaś towarzyszki jej utrzymywały, że to było z pastierzem, będącym w służbie u jej ojca. To się często zdarzało: tjady, w uniesieniu miłosnem, gdzieś w parowie leśnym, przy blasku gwiazd, łączyły się same nie wiedząc z kim, jak zwierzę ze zwierzęciem, jak bogini z bogiem.

W dwa miesiące potem, Fenicjanie przybili do swego rodzimego portu, Byblos-Gebał, u stóp Libanu i tam sprzedali Zemlę Itobolowi, kapłanowi Astarte i Molocha. W tym domu przyszła na świat Eoja.

Stary Itobol miał dobre serce, jakkolwiek składał Molochowi ofiarę z małych dzieci. Przez czas długi miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale uspokoił się, pocieszając myślą, że Abraham, kapłan tegoż ognistego Baala, dzięki ofiarom równie świętym i równie straszliwym, zasłużył na miano — Przyjaciela Boga.

Itobol był bardzo dobry dla Zemli, podniósł ją do godności świętej kurtyzany w świątyni Astarte, kochał Eoję jak własną córkę i gdy dorosła, usynowił ją wedle prawa.

W świętym gaju Astarte, gdzie spoczywały zwapniałe kości małych dzieci, poświęconych Bogu, i gdzie ich czyste duszyczki, zdawały się krążyć w woni fi-

jołków, rosta i kwitła, sama jak fijołek, Eoja, córka Itobola.

Miała przeszło dwanaście lat, gdy kapłanka Dio, córka Aridoela, przybyła z Knossos na statku, przywożąc dary i ofiary dla Astarte, w której kreteńczycy czcili własną Wielką Matkę. Dio spędziła w domu kapłana około miesiąca. Jakkolwiek prawie nigdy nie mówiła z Eoją, czuła, że dziewczynka zapalała do niej tą dziecinną miłością, która wydaje się być śmieszną dorosłym osobom.

Ostatniego wieczoru, w przeddzień wyjazdu, gdy były same w świętym gaju, Dio spytała Eoję:

— Czy chcesz, maleńka, żebym cię zabrała ze sobą, na Wyspę?

— Zabierzesz mnie na zawsze?

— Na zawsze.

Eoja patrzyła na nią długo w milczeniu i dodała cichutko:

— Zabierz mnie.

— A jeśli nie pozwolą ci jechać?

Zastanowiła się i rzekła jeszcze ciszej:

— A więc ucieknę.

— Nie uczynisz tego zbyt kochasz ojca i matkę.

— Kocham ciebie... — zaczęła Eoja, ale nie dokończyła.

Nagle zarumieniła się, poczem zbladła.

— Kocham cię najwięcej, — szepnęła.

— Mały głuptasek! — rzekła śmiejąc się Dio, objęła ją, pocałowała oczy i koło oczu, małe dziecinne piegi, czując, że tamta oddaje się jej cała, jak gibka alga oddaje się kołysaniu głębokiej fali.

— Mały głuptasek, czyż można tak mówić!

— Można, kocham tylko ciebie — odparła Eoja z okrutną namiętnością, w której już nic nie było

dziecinności. — Zabierz mnie, zabierz mnie! Powiedz słowo a ucieknę...

Duszycki spalonych dzieci krążyły w woni fijołków, a między czarnymi cyprysami, pod jasnym, bez gwiazd, niebem, lśniła jedyna gwiazda wieczoru, Gwiazda On — Ona — Dziewica — Młodzieniec. Dio patrzyła na Eoję. Poczem już bez śmiechu usunęła ją łagodnie, w milczeniu i szybko się oddaliła.

Nazajutrz, gdy byli tak daleko na morzu, że nie widać już brzegów, Dio dowiedziała się, iż Eoja jest na okręcie.

Przekupiła sternika, ofiarowawszy mu złoty naszyjnik, dar swego ojca, i schował ją wśród worów z towarami.

— A mały głuptasek, — co za szaleństwo popętniłaś! — wykrzyknęła Dio, ale popatrzywszy na nią uważnie, zrozumiała, że nie może się gniewać, jak nie można się gniewać na lunatyczkę, chodzącą nad brzegiem przepaści.

Marynarze nie chcieli wracać do Byblos z powodu nieznanej dziewczeczki, a przed Kretą nie było innego portu. Dio postanowiła odesłać ją do ojca pierwszym statkiem, który wyjdzie z Knossos, ale tego nie uczyniła: pokochała tak szalenie, jak szalenie była kochaną.

Na wyspie Krecie, na Dyktejskiej górze, koło jaskini, gdzie urodziło się Dziecię-Bóg, znajdował się święty przytułek — Pasięka Matki. Tam dziewice — pustelnice mieszkaly pod strażą Wielkiej Pszczoły — pierwszej kapłanki. Każda miała przy sobie nowicjuszkę. Eoja została przy Dio. Spędziła tak cztery lata, ucząc się mądrości boskiej przez słowo, a więcej jeszcze przez tańce, gdyż milczący taniec, jest mądrzejszy od wszystkich słów ludzkich.

Przy końcu pierwszego roku, Itobol, dowiedziawszy się, gdzie znajduje się jego przybrana córka, przybył do Knossos i domagał się oddania zbiegłej niewolnicy. Odpowiedziano mu, że w Pasiece niema niewolnic, jeno poświęcone dziewice, znajdujące się pod opieką Matki, których się nie wydaje nikomu.

Odjechał, przeklinając córkę i polecając jej powiedzieć, że zabiła matkę. Ziemia, rzeczywiście umarła z rozpacz po ucieczce Eoji.

Z pośród kapłanek i nowicjuszek, wybierano tancerki na igrzyska w Knossos. Wybór padł i na Eoję.

Opuściwszy pasiekę, zamieszkała w wiejskim domu Dio, koło portu, pośród cyprysowych gajów, winnych krzewów i ogrodów szafranowych.

IV.

Na trzeci dzień po zaślubieniu Eoji z Bogiem Bykiem, Dio dopełniła nad nią świętego obrzędu oczyszczenia w morzu.

Zdjąwszy ślubny strój, rzuciła go w fale, zacerpnęła wody w kubek i pokropiła Eoję, wymawiając słowa modlitwy:

Matko najświętsza
Otocz swą łaską
Morski nasz kraj
I dzieciom twoim
Pokój daj.
W morzu tonących
Wołanie słysz,
Burz nadchodzących
Grzmotanie ścisz.
Daj wiatr łagodny,
I białe żagle
Wiedz w czas pogodny.
Daj nam zbawienie
I pocieszenie,
Matko!

Wedle obrzędu kapłanka i nowicjuszka winny były kąpać się razem, w morzu.

Od dawna tańcząc, przyzwyczały się widywać prawie nago, ale nigdy zupełnie nago. To też Eoja zawstydzila się zdjąwszy ostatnią przepaskę i szybko rzuciła się w wody. Dio poszła za nią.

Zatoka głęboko wchodziła w głąb lądu. Zdawało się, że słychać było rozbijające się fale, wyjące i kipiące: bałwany oblewały ostre skały słoną pianą, ale tu, w zatoce było spokojnie: woda, zaledwie się kołysząc, niby zwarta masa szkła błękitno-zielonego, była tak przejrzysta, iż widziało się na dnie każdy kamień i każdą muszlę.

Fala nie ukrywała nagości kąpiących się; ale w wodzie niewinny wstyd ich rozwiał się zupełnie.

Obie pływały jak ryby, bawiły się, szalały, obryzgiwały szafirowymi kropelkami, krzycząc, piszcząc z radości, tak szczęśliwe, jak gdyby odnalazły swą ojczyznę: morze droższem im było nad ziemię.

Zbliżywszy się do raf, włożyły na śliskie kamienie, pokryte czarno-zielonemi włosami alg i chciwie oddychały ich słoną świeżością. Nadstawiły plecy przybiegającym falom, które z pomrukiem, ze skokami, błyskami białej piany pokrywały je, jak Byk, ukochaną Pazyfae.

Zagłęzione w wodzie patrzyły nie poznając się: ciała i twarze wydawały się im nierzeczywiste; białe ciało Eojej było błękitno-srebrne, brunatne ciało Diod było różowo-srebrne, obie wyglądały jak podwodne kwiaty.

W okół nich szumiało tajemnicze życie morza. Ryby patrzyły na nie okrągłemi oczami, jeże morskie wysuwały kolce, gwiazdy morskie mrugały rzęsami, rozplątało się w księżycowy opal ciała meduzy, mięczaki wychodziły z muszeli, z jakiegoś krzewu koralowego wysuwały się macki, brody, ogony, czyjeś oczy lśniły w ciemnościach fosforycznym blaskiem zbutwiałego drzewa.

Doznawały świętego strachu, jak gdyby otwierało się przed nimi boskie łono Matki, gdzie zapładnia się wszystko, co było, jest i będzie.

Po zmierzchu podwodnym, światło słońca wydało się brutalne, a jego żar zabójczy. Ale córki ziemi wróciły do niej, wyszły na brzeg i położyły się w piasku, nie wstydząc się już swej nagości.

Nagle Eoja podnosząc zawołała:

— On patrzy! On patrzy!

I rzuciła kamień ponad urwistą skałą, w stronę gęstego krzaku mirtu.

— Kto taki? — spytała Dio.

— On! On! — Tammuzadad.

Dio też się podniosła. Jej twarz zapłoniona gniewem, była tak groźna, jak boskiej Dziewicy-Łowczyni, Britomartis. Jedną ręką chwyciła żółtą zasłonę, usianą w srebrne pszczoły, drugą dziurę, bowiem obyczajem łowczyni, nie wychodziła nigdy bez broni. Z taką siłą rzuciła dziurę w krzak, że mogłaby zabić człowieka. Ale opanowawszy się zaraz, zbladła, schowała twarz w dłonie i szepnęła ze zgrozą:

— Tammu, bracie mój, cóżś uczynił?

— To nic, nie bój się, uciekł — rzekła Eoja, też blednąc. — Ach jakże się ty boisz! — Nie wiedziałam, że kochasz go tak bardzo...

Tegoż dnia Tammuzadad rzekł do Kinira, syna Uamara:

— Czy pamiętasz o czem mówiliśmy przed południem?

— Tak.

— Daj mi twą rękę.

Kinir wyciągnął rękę. Tammu uderzył w nią, jak na targu i rzekł:

— Biorę cię na współnika, Kinirze, synu Uamara, razem posłemy statek po żelazo, dobrze?

Jeszcze nie wierząc swemu szczęściu, Kinir patrzył na niego z podełba chciwemi oczyma.

— Dobrze, dobrze! — O mój panie, oby cię bogowie wynagrodzili, — krzyknął ze łzami w oczach, rzucając się do ręki Tammu. — A suczkę — zabijemy?

Tammu zaraz nie odpowiedział, spuścił oczy, jakby sobie przypominając: zobaczył wszystko: obie „chłopca“ — i — „dziewczyne“, leżących w uścisku na piasku, nad brzegiem morza, i siebie w krzaku na skale, brzuchem do ziemi, twarz w pyłe, drapiąc ziemię paznogciami, bliski gryzienia jej, wedle słów starożytnego przekleństwa: „Gryść będziesz ziemię.“ I nagle ponad swą głowę, dzirył przelatujący ze świstem... A gdyby nieco niżej!...

— A suczkę — zabijemy? — powtórzył Kinir, myśląc, że tamten nie usłyszał.

Tammuzadad podniósł powoli, z trudem, oczy na Kinira i wiedząc, że będzie, jak rozkaże odparł:

— Zabij ją!

V.

Płaczcie Tammuza, płaczcie go dalekiego!

Koza-matka i koźle padły zarżnięte!

Owca-matka i jagnię padły zarżnięte!

Płaczcie więc syna, płaczcie go ukochanego!

Tak śpiewał Engur, syn Nurdagana, na polu spalonym, na płaskim szczycie skały, panującej nad zatoką, gdzie tegoż dnia rano kąpały się Dio i Eoja.

Engur, stary niewolnik Isterramana uciekł z Tammu, gdy ten zabił, lub jak mu się zdawało, zabił ojca. Pływał z nim po morzach dalekich, szukając żelaza, służąc mu wiernie, ale na starość postradał rozum i na nic się już nie zdał. Na prośby Tammu, Dio wzięła go do swego domu, jako pasterza. Ciepłe wonie wrzosu, mięty, absyntu, nostrzyku i zapach stada owiec, mieszały się ze świeżością morza, przypominając pasterzowi jego rodzinne stopy Sennaaru. Zwolna, za fijołkowemi wzgórzami, podnosiły się chmury; zwolna pasły się owce i kozy; zwolna z fujarki pasterza padały tony, jeden po drugim jak edna ła po drugiej.

Płaczcie więc syna, płaczcie go ukochanego,

On — drzewo, którego w ogrodzie wodą nie napojono,
Którego w polu wierzchołek wonnym się kwiatem nie

[okrył,

On — gałąź wodą płynącą niewypieszczona dla życia,

On — kwiat, którego korzenie z ziemi żywiącej wyrwane.

Dni płaczu Tammuza wracały co roku, gdy gorąco upałów paliło na rodzimych stepach Sennaaru trawy i kwiaty. I na tej obcej ziemi, pamiętał o tem Engur. Dzień cały fujarka jego jęczała, czasem zatrzymując się, by potem znów zacząć płakać.

Ponad łańcuchem wypalonych przez słońce pagórków, zachód umęczony, unosił się na kręgach rdzawych, i biała, jak słońce, zapalała się gwiazda wieczorna, gwiazda Młodzieńca-Dziewicy, Tammuz-Istar; ale pasterz wciąż płakał, ciągle opłakiwał zwiednięty kwiat, umarłego boga:

Pan umarł! Tammuz umarł!

Psy błądzą na domu Tammuza ruinach

Na stypę zlatują się kruki i wrony

Płacz pogrzebalny grzmi wśród łoskotu burz,

Wśród niepogody brzęczy flet tęskliwy...

O serce, serce pańskie! O żebro pańskie przebite!

Siedząc na brzegu, nad urwiskiem skały, Dio i Eoja słuchały w milczeniu. Tak cicho zamierał zachód, jak cicho zapalała się gwiazda i płakała fujarka, że cisza obejmowała i słuchających.

— Jak ona płacze, ach, strasznie płacze! — rzekła Eoja.

— A dlaczego zabito boga? — spytała znowu, i nie czekając odpowiedzi, szeptała, z rosnącym niepokojem:

— Opowiadała mi matka, że bóg Zagreus-Dionyzos urodził się jako człowiek, pieśniarz Orfeusz. Tak słodkie były jego pieśni, że słuchały go zwierzęta, drzewa, kamienie, ale ludzie go zabili, porwali i rozrzućili jego członki, na cztery strony świata. Czy wiesz co o Orfeuszu?

— Tak. On był też na naszej wyspie.

— Orfeusz znaczy Ciemny, Dlaczego ciemny?

— Ludzie go wyśmiali, światło jego wydawało im się ciemnością.

— I dlatego go zabili?

— Dlatego.

— A gdyby wrócił, znówby go zabili?

— Tak.

— Zenra opowiada, — przypomniała sobie Eoja, — że Ozyrys również był zabity przez Seta, swego brata, że był porwany a członki jego rozrzucono na cztery strony świata.

Zamilkła, wzięła Dio za rękę i patrząc na talizman zawieszony u jej dłoni, ametyst w formie czteroramiennego krzyża, spytała:

— Co masz? — Jego znak? — Cztery gałęzie, cztery strony świata w które były rozrzucone jego członki... A czy Ojciec wiedział, że Syn będzie zabity i poszarpany?

— Wiedział.

— Matka też?

— Matka też.

— Jakie to straszne? — Pszczółko droga, jakie to straszne! Ojciec i Matka dziecię swoje oddali na ofiarę. Wszędzie to samo — na ziemi i na niebie, nigdzie ostoji. Pamiętasz Itobola, ojca mego? — Jest dobry, muszce nie uczyniłby nic złego a palił małe dzieci. Zapach ich ciał palonych — mówił — „woń miła Bogu“. I Abraham, kapłan Baala—Jahve, ten również nazwany był przyjacielem Boga, gdyż gotów był ofiarować syna. Ojcowie i matki sami przynoszą dzieci swe na ołtarz, i gdy one płoną, nie płaczą — a nawet gdyby płakali, grają trąby, grzmią cymbały, kapłani śpiewają hymny do Pana, żeby nie-

słyszano ich skarg... Ale Matka je słyszy, woń drobnych palących się ciał wznosi się ku Niej.

— Milcz, — rzekła Dio tak rozkazująco, jak niegdyś w lesie, na górze, gdy poskromiła bezbożnego Tammu.

— Nie można o tem mówić? Nawet myśleć? — szeptała Eoja.

— Nie.

— Ale jakże nie myśleć? Pszczółko droga, jak nie myśleć?

Zamilkła, potem marząco i napozór spokojna, mówiła:

— Matka miała naczynie pochodzące z jej ojczystego kraju, amforę. Widzę ją jeszcze, z wypalanej gliny, stareńka, brzuchata, ucho odbite. Gdy zbóje zabrali matkę na okręt, odebrali jej to naczynie, myśląc, że zawiera cenny balsam, ale zobaczywszy, że puste, oddali. Jako mała dziewczynka przyglądałam się często temu co czerwone, namalowane było na czarnem, ale nie mogłam nic zrozumieć. Było tam trzech małych ludzi: jeden uwieczony bluszczem, dzierzył tyrs, jak Bóg Zagreus — Dionyzos, patrzył uśmiechał się, drugi przestraszony uciekał, a trzeci, w środku, trzymał w ramionach zmarłego chłopca. Ludzie byli źle narysowani, ale dziecko tak dobrze, że nie można było oczu oderwać. Widać, że je zaduszono; ciało jakby jeszcze ciepłe, wisiało niby łachman, głowa w tył odrzuconą; włosy spadały długie, jakby u dziewczyny, a twarz była piękna, twarz boga. Człowiek oderwał rękę, podnosił ją do ust, aby zjeść: „Co uczynił z dzieckiem? Dlaczego je zjada?” pytałam matkę. „Dzieci, niepowinny tego wiedzieć, odpowiedziała. Poczekaj, gdy będziesz duża, to się dowiesz.“ A więc teraz wiem: zanim Bóg

urodzi się człowiekiem Podziemni, Straszliwi, rozszarpują go i pożerają. Dlatego w misterjach Zagreusa, kapłanki, tjady opętane przez boga, rozszarpują i pożerają żywcem ofiary. Gdy mi to matka powiedziała, byłam tak przestraszona, że nie miałam odwagi zapytać, czy tą ofiarą jest zwierzę, czy też człowiek...

Eoja, mówiąc to, patrzyła na Gwiazdę wieczorną. Nagle, odwróciła się do Dio, spojrzała w głąb jej oczu, i spytała, prawie temi samemi słowami, co niegdyś w lesie, bezbożny Tammu:

— Czy to prawda, Pszczółko, że na waszej wyspie, ojcowie i matki też ofiarowują swe dzieci?

— Zamilcz! nie waż się — krzyknęła Dio, też tak jak wówczas. — Jeśli jeszcze powiesz słowo...

— Cóż się stanie? — spytała Eoja tonem wyzywającym; — nie będziesz mnie więcej kochać? Przecież Tammu, brata swego, kochasz, nie mnie?... Pamiętaj, powiedziałaś, że gdy będę we wnętrznościach Jałówki, Bóg wszystko mi objawi... I on mi wszystko powiedział.

— Cóż ci powiedział?

— Ty wiesz to dobrze: jeśli Bóg jest taki, jak myślą ludzie, to nie Bóg, lecz djabeł...

— Zamilcz, zamilcz, bezbożna, przeklęta!

Dio podniosła rękę, jakby chciała nią uderzyć. Straszna była jej twarz, że Eoja pomyślała: „Ona mnie zabije. Dobrze. Ja lub on.“ Zakryła twarz rękami. Dio uczyniła to samo.

Długo milczały. Nawet fujarka przestała płakać. Wszystko umilkło. Jedynie morze oddychało. W zapadającym zmroku jeszcze świeższa była słońca świeżość fal, cieplejsze, ciepłe kadzidło wrzosów i gwiazda biała jak słońce, w rdzawych oparach zachodu, wydawała się być jeszcze bielszą.

Nagle Dio posłyszala, że Eoja płacze. Odrywając ręce od twarzy zwróciła się do niej.

— Czemu płaczesz?

Eoja nie odpowiedziała, tylko płakała coraz bardziej. Dio objęła ją i czuła jak wątłe ciało drżało od łkań, niby ptak w ręku uwięziony.

— Ty mnie nie kochasz, ty mnie nie kochasz, — powtarzała, płacząc coraz głośniejsze, że zdawało się, iż cała jej dusza w łzach się rozpułynie, jak w krwi rozpuływa się życie śmiertelnie zranionego człowieka. I ból jakiś znany, — wieczne wyrzuty sumienia i nieskończona litość — przeszły serce Dio.

Obejmowała ją coraz silniej, tuląc do siebie całując jej głowę, pieszcząc włosy i powtarzając słowa jednostajne a czułe, jak matka usypiająca spłakane dziecko.

— Nie trzeba płakać, moje kochanie, moja duszo, moje serce, moja złota rybko, mój biały motylku, nie trzeba płakać! Czyż nie czujesz, że cię kocham?

Sama zaczęła płakać. Eoja popatrzyła na nią, załkała raz jeszcze i uspokoiła się.

— Ty mnie kochasz? naprawdę? — pytała śmiejąc się przez łzy. A on?

— Mały głuptasek, czyż mogę go kochać tak, jak ciebie?

— Ach, Pszczółko droga, kochaj mnie jak chcesz, ale bardzo mnie kochaj! — Wiesz, to już nie długo. Zdaje się...

— Co ci się zdaje? — Powiedz!

— Zdaje się, że wkrótce umrę. Czy wiesz, co się śniło? Matka mnie szukała, prześladowała, nie mogąc mnie złapać, Oczy jej były otwarte, ale nie widzące, jak oczy umarłych. A ja... bałam się jej,

myśląc, jeśli mnie złapie, umrę ze strachu. Nagle, chwyciła mnie i już się nie bałam i tak mi było dobrze, jak z tobą, w tej chwili. Ścisnęła mnie, pieściła zupełnie, jak ty i mówiła temi samymi słowy: „Moja duszo, moje serce, moja złota rybko, mój biały motylku, czy nie widzisz, jak cię kocham?” Zaczęła płakać. Zbudziłam się, również płacząc z radości. To znaczy, Pszczółko, że wkrótce umrę...

Dio chciała mówić, lecz nie znajdowała słów, myślała tylko: „Umrę z nią razem. Może to i lepiej; nie można żyć i kochać jak my się kochamy. Zabiłyśmy ziemską matkę — niebieska Matka nam tego nie przebaczy.”

Nagle fujarka znów zaczęła płakać:

— Ona płacze, jak gdyby Bóg umarł i nie zmartwychwstał, — rzekła Eoja, i po chwili milczenia spytała:

— Pszczółko, dlaczego niechcesz mi wszystkiego powiedzieć?

— Czego powiedzieć?

— Jak, On umarł i jak On zmartwychwstał. Ty wszystko wiesz, prawda?

— Nie, nie wiem.

— Któż więc wie?

— Nikt — odparła Dio. A po namyśle dodała: Może jeden tylko człowiek w świecie to wie...

— Któż to taki?

— Król Egiptu, Akhenaton.

BAKCHANTKI.

I.

Tuta miał zły sen. Wedle proroctwa Idomina: „Ciesz się Tutankhamonie, królu Egiptu!“ siedział na tronie. Ale usłyszał ponad sobą szmer wody i zasnuć się, rozumiejąc, że ten tron był to tylko stolec w ustępie. Nagle wśród huku gromu, siedzenie zachwiało się i Tuta spadł w przepaść.

Zbudził się pełen strachu, usłyszał krzyki i wrzawę, sądząc, że pochodzą one z sąsiedniej komnaty, wyskoczył z łóżka i zawołał swego sekretarza:

— Ani, Ani! co się dzieje? Czy to ziemia drży? Prędzej, prędzej, powiedz!

Ani rzucił się na podwórze, a wróciwszy, uspokoił go:

— Ziemia dobrze się trzyma, ale ludzie krzyczą, gdyż nastąpiły dni lamentu boga Aduna-Adonisa.

— Zabawni ludzie, — rzekł Tuta, zdziwiony. — Krzyczą jak gdyby naprawdę zdarzyło się nieszczęście.

Położył się znów, ale słysząc ciągle wrzaski, nie mógł zasnąć.

Gdy nadszedł dzień, kazał podać sobie lektykę i wybrał się na słuchanie płaczu. W drodze spotkał Tammu i prosił, żeby mu towarzyszył. W całym pałacu i całym mieście, ludzie biegali, niby kogoś szukając, lub siedzieli w świętych ogródkach; uderzali się w piersi, rwali włosy przy żałobnych dźwiękach skarżących się fletów, płaczących i jęczących:

— Aï Adun! Aï Adun!

W naczyniach glinianych wystawiono na działanie słońca krótkotrwałe rośliny, żeby jeszcze szybciej więdły; płakano nad niemi, jak gdyby w przeczuciu, że wielkie Królestwo Mórz zginie podobnie, jak wąły kwiat Aduna-Adonisa.

Drzewko nie zasadzone we właściwym miejscu
Drzewko, którego korzenie wyrwano!

Za świętymi ogrodzeniami kapłanki w szalonym tańcu wyrwały z korzeniami święte krzewy Aduna, zasadzone na ołtarzach w glinianych amforach; w każdej z nich był Bóg, wyrrywając krzew, zabijano Boga-Ofiarę.

Tammu wsłuchiwał się w te żale:

— Niestety, mój Bracie, Niestety Siostró moja! Mój ukochany, ukochana moja! Półksiężycu o podwójnych rogach! Siekiero o podwójnym ostrzu! Adun-Aduna! — jęczeli płaczkowie.

— Nieczysty kraj, nieczystej Lilith! — zamruczał Tammu między zębami.

— Co mówisz? — spytał Tuta.

— Mówię, że ci głupcy będą płakać przez sześć dni, bo dwa razy dwa to cztery, a siódmego dnia cieszyć się, bo dwa razy dwa — to pięć.

— Co to znaczy?

— To znaczy: człowiek umarł — dwa razy dwa — cztery; człowiek zmartwychwstał — dwa razy dwa — pięć.

— Nie wierzysz więc w zmartwychwstanie Boga?

— Wiara nie skruszy żelaza, ja, handlarz żelazem, wiem o tem!

Siódmego dnia Tuta poszedł na Górę Dyktejską zanieść zmartwychwstałemu Bogu Adunowi wotywnę dary od króla Akhenatona.

O półtora dnia drogi od Knossos, na południowym skłonie góry, ponad okrągłą jak czasza, kotliną, — dnem wyschniętego jeziora, — znajdowało się miejsce najświętsze na Krecie, grota w której urodziło się Dziecię-Bóg.

Wązka ścieżyna prowadziła w górę między poszarpanymi skałami, gdzie beczały kozy i brzęczały pszczoły, jak za dawnych dni, gdy Dziecię-Bóg mlekiem swem żywiła koza Amaltea, a miodem górskim kwiatów, karmiły je pszczoły — Melissy. W dole z kotliny buchał żar jak z pieca, ale na wyżynach oddychało się już pierwszą świeżością wiecznych śniegów. A jednak i tam wszystko było nagie, obumarłe, spalone; jedynie u wejścia do groty wznosiła się wysoka topola, jak edenowe drzewo życia.

Wysiadającego z lektyki posła otoczyły kapłanki, stare i młode. Dio była w ich liczbie. Zbliżył się do niej i prosił by mu dała pić. Napełniła czarę u źródła, które tryskało w świętem ogrodzeniu i podała mu ją.

— Cóż postanowiłaś córko moja — spytał, — pojedziesz ze mną do Egiptu?

— Tak, jeśli król i Wielka Kapłanka pozwolą.

— Król już pozwolił, a Wielka Kapłanka też nie będzie się sprzeciwiać. Ale czy ty sama nie zmienisz postanowienia?

— Nie. Dlaczego mi nie wierzysz?

— Bo dziewczęta mają zbyt wiele myśli w głowie.

— Mam tylko jedną.

— Jaką?

— „Zobaczyć króla Akhenatona, największego z synów ludzkich“ — chciała odpowiedzieć Dio, ale spojrzawszy na Tutę zrozumiała, że lepiej tego nie mówić.

— Do Egiptu, do Egiptu! — rzekła tak wesoło, że i on poweselał. Po powrocie do ojczyzny, będzie się mógł pochwalić, że przywiózł królowi tancerkę, jakiej jeszcze nigdy nie widział, najcenniejszą perłę Królestwa Mórz.

— Akakalla czeka na ciebie, chodź, — rzekła Dio, prowadząc go za rękę do pieczary.

Oślepiło go nagle przejście ze światła dziennego w podziemną noc. Gdy znów zaczął widzieć, rdzawe światła pochodni rozjaśniały ciemności. Ale grota była tak obszerna, że wgłębienia jej pozostawały w mroku i sklepienie wydawało się być niebem ciemnej nocy. Przechodząc wśród dwóch rzędów starych kobiet, dzierzących pochodnie, Tuta czuł, że nogi jego toną w miękkim puchu: był to tysiącletni pokład popiołów spalonych ofiar.

Na prawo od wejścia wznosił się starodawny ołtarz z potężnych kwadratowych kamieni, zapewne pozostawiony w zamierzonych czasach, przez pierwszych czcicieli Matki, mieszkańców dzikich jaskiń. Składano tam ofiary nie tylko zwierzęce, ale i ludzkie. Na lewo lśnił biały las stalaktytów, tak potężnych, jak pnie drzew. Za pierwszą grota znajdowała się druga, święte świętych, błogosławione łono Ziemi-Matki, straszliwe drzwi do innego żywota. Nikt tam nigdy nie wchodził, prócz Wielkiej Kapłanki. To tam urodziło się Dziecię-Bóg.

W głębi większej groty, na niskim stolcu z kamienia, siedziała kobieta, starsza od innych, przeraźliwie gruba, nabrzmiata żółtym tłuszczem, jak osoba cierpiąca na wodną puchlinę. Miała kołpak spiczasty, w ukośne paski białe i czerwone. Suknia jej wycięta do pasa, odsłaniała dwie ohydne piersi, dwa krowie wymiona, albo dwa gąsiory puste, czarne, poorane,

wiszące, podobne do cycek brzemiennych suki. Wokoło jej ciała owijały się sznury o metalicznym odbłasku. To była Matka Akakalla, Wielka Kapłanka. Tuta wiele o niej słyszał, król Idomin nienawidził jej, podejrzewając o tajemne stosunki ze swym wygnanym bratem, Sarpedominem, ale naród kochał ją i czcił, nazywał najświętszą i bardzo mądrą. Niegdyś walczyła z królem o tron, pamiętając o dniach, kiedy to kobiety panowały nad Królestwem Mórz, wedle starodawnego rozkazaniami matki: „Niech mąż słucha żony!”

Zaledwie podniosła się z pomocą kilku kapłanek z jękiem i z stękaniem, wyciągnęła ramiona błogosławiąc Tutę i nagle sznury opasujące jej ciało, poczęły się ruszać. Tuta zrozumiał, że to są węże. Poplątane w kłęby, w węzły, biegły niby pas, w okół jej bioder, na szyji jako naszyjnik, na rękach jako manele. Jeden na kształt kolców zawisnął na uchu, drugi oplótł kołpak i spadał na czoło, pokazując małą płaską główkę i drgające żądło.

Tuta bał się, ale nie bardzo. Przypomniawszy sobie, że dyktejskie kapłanki umiały oswajać najniebezpieczniejsze gady, usuwając gruczoły z trucizną i że matka Akakalla była potężną zaklinaczką węży.

— Cud wielki wieści Matka wszystkim ludziom, — mówiła po kreteńsku głosem radosnym, śpiewającym, modlitewnym. Zapowiadała go swym świętym, swym wiernym, ale potępia tych, którzy podstępem zbliżają się do niej. Niech przyjdą do Matki tylko święci i czysti, aby ujrzeli dzieło Boże, cud zmarłych wstania.

Tuta ukląkł, ofiarowując jej dar królewski, złotą misę na ofiarę, spłaszczoną jak puklerz. Matka-Akakalla obejrzała ją jednym okiem, wtedy dopiero zobaczył, że jest jednooka.

Trzy koncentryczne półkola rzeźbionych postaci zdobiły naczynie: pierwsze, największe tworzyły małe węże egipskie, Uazet, drugie, anioły babilońskie, trzecie, podwójne siekiery kreteńskie, wreszcie, w środku od tarczy słonecznej Boga Atona, rozchodziły się promienie w kształcie rąk ludzkich, błogosławiących króla egipskiego Akhenatona; ponad słońcem, były dwa słowa po kreteńsku: „Adun-Aton“, a z każdej strony króla wyryte napisy hieroglificzne, które matka Akakalla głośno odczytywała: „Wszystkie ludy i wszystkie narody, okułeś w węzły miłości, złączyłeś je, ty jedyny. Synowi swemu, Akhenatonowi-Neferkheperoura Uaenra odkryłeś prawdę, gdyż nikt nie zna Ojca, prócz Syna.“

Nagle twarz starej zmarszczyła się, wargi zadrzały i łza spadła z oka. Podnosząc misę dwoma rękami, pocałowała ją i wykrzyknęła:

— Nikt, nikt nie zna Ojca, prócz Syna! Niech będzie błogosławiony jedyny Syn Ojca, Akhenaton Uaenra!

Poczem zwracając się ku Dio i podając jej misę, rzekła:

— Oto syn człowieczy! Czy poznajesz go?

Dio patrząc na niego, doznała takiego wzruszenia, jak gdyby po długiej rozłące zobaczyła brata. Z kolei też pocałowała naczynie.

— Jedź, jedź córko moja! Miejsce twoje nie tutaj, lecz tam, u niego! — oświadczyła Matka Akakalla i nagle oko jej rozpalilo się jak żarzący węgiel.

— Tańcz przed nim na chwałę Adun-Atona, wyżej, wyżej, wyżej, podrzucaj nogi, tak!

Jednocześnie płacząc i śmiejąc się uniosła suknię, odkryła nagie nogi, potwornie grube, jak kłody drzew, zaczęła niemi ruszać, niby tańczyć, niezgrabnie i bezsilnie.

— A ty, kim ty jesteś? — spytała nagle po egipsku Tutę, patrząc mu w twarz, jak gdyby go dopiero przed chwilą ujrzała.

— Ambasador królewski, — odparł.

— Wiem o tem, lecz jak ci na imię?

— Tutankhaton.

— Tutankhamon?

— Nie, Tutankhaton.

— Był Amon jest Aton i znów będzie Amon, nieprawdaż? Miau, miau! Lubisz koty?

— Tak.

— A więc dlatego jesteś do nich podobny? A wasza Wielka Matka jest też kotką, prawda?

— Nie znam Matki, była niegdyś, lecz dziś już jej nie ma.

— Jakże to? Syn bez Matki?

— Wedle nauki króla...

— Kłamiesz! Nauczony on cię, głupcze, swej mądrości — zrzędziła stara po kreteńsku i niespodzianie, rozgniewawszy się, tupiała wściekle nogami i podniosła swą kulę na Tutę. — Kłamiesz psie niewierny, synu suki, bezbożniku. Nie może być Syn bez Matki.

Nierozumiejąc słów, domyślił się tylko, że mu wymyśla. Ale wiedział, że nie wolno mieć żalu do Wielkiej Kapłanki, jej gniew, a nawet jej uderzenia, były błogosławieństwem. Niemniej myślał jakby się wymknąć po cichu, bez szwanku.

Ale ona uspokoiwszy się, znów mówiła doń uprzejmie. Tylko złośliwy uśmiech błyszczał w jej oku.

— Sprawa twoja pewna, mój chłopcze. Kocie, będziesz królem myszy. Im trzeba kogoś takiego, jak ty. Wielki będzie małym, a mały będzie wielkim. Ciesz się królu Egiptu, Tutankhamonie!

„A przeklęta czarownica, można by sądzić, że wyszpigowała króla Idomina“, myślał Tuta, zdziwiony, prawie przeleknięty.

Mówił o wyjeździe Dio.

— Niech jedzie i niech ją Matka błogosławi! — odparła stara i zamilkła, zamykając zgasłe już oko, jakby usypiając.

Tuta zrozumiał, że posłuchanie skończone. Chciał ucałować rękę kapłanki, ale nie miał odwagi, tak dalece wstrętny mu był szmer węzów. Oddawszy głęboki ukłon, wyszedł.

Na znak Akakalli, wszyscy po kolei wyszli. Została tylko Dio. Stara ją zawołała.

— Przyjdź tu, co ci jest moja córko? Dlaczegoś taka smutna?

— Sama nie wiem, matko, na sercu leży mi jakiś ciężar, boję się... — odparła Dio, klękając.

— To nic; po tańcu będzie ci lepiej.

Co roku, na Górze, w końcu lata, kapłanki opętane przez boga, tjady, na cześć zmartwychwstałego Aduna, wśród nocnych śpiewów, tańczyły święte tańce.

— Matko, pozwól mi... — zaczęła Dio i nie dokończyła.

— Mów...

— Pozwól mi nie brać udziału w tych tańcach.

— Dlaczego nie chcesz?

— Nie mam odwagi, jestem nieczysta — szepnęła, chowając twarz w dłonie.

— Jakto nieczysta? — zapytała stara.

Dio umilkła. Akakalla łagodnie zesunęła jej ręce, spojrzała w oczy i w milczeniu wskazała na ołtarz. Dio zbladła i spuściła głowę. Zrozumiały się bez słowa.

W tejże grocie, na tym samym ołtarzu, spalono Iola, syna Aridoela, brata Dio.

Wspę wówczas nawiedziły straszne klęski: wojna, głód, trzęsienie ziemi. Przestraszona ludność nie wiedziała jak uspokoić boski gniew. Zapomnieli o Matce i Synu, pamiętali tylko o Ojcu, ogniu wszystko pożerającym, jak gdyby podziemne grzmoty Państwa Mórz były echem niebieskich grzmotów na górze Synai:

„Daj mi twe pierworodne, a będziesz narodem wybranym.“

Długo Efra, żona Aridoela, opierała się przeciw ofiarowaniu syna. Mąż jej żaglował wówczas na dalekich morzach północnych, od trzech lat czekała go wśród męki nadziei i obaw. „Jeśli nie dasz syna, nie zobaczysz męża — wybieraj!“ rzekła kapłanka. Efra uwierzyła, wybrała, dała syna. Wkrótce potem dowiedziała się, że Aridoel zginął i z rozpaczyny powiesiła się.

— Nie możesz przebaczyć? — spytała matka Akakalla.

— Nie, — odparła Dio, tuląc swą twarz do nagich, czarnych piersi, cycek suki i płakała, jak małe, bezbronne dziecko.

— Przebaczyć? czyż można przebaczyć? — jęczała przez łzy.

— Można, — odparła kapłanka. Rozum nie pozwala, ale szaleństwo może. Dlaczego mnie o to pytasz? Czy sama tego nie wiesz?

— Nie.

— Tańcz, a będziesz wiedzieć.

— Tańczyłam i, widzisz, nie wiem nic.

— Nie tańczyłaś tak, jak trzeba.

— A jak trzeba?

— Głupia, głupia, głupia! — krzyczała stara, wściekła i jak przed chwilą na Tutę, zaczęła tupać nogami. Poczem zerwała swój kołpak, rozrzuciła po twarzy siwe kosmyki włosów, konwulsyjnie, jakby się dusiła, poczęła odrywać od siebie węże i rzucać je na ziemię.

— Ach, ja też jestem stara warjatka! Nieczysta, bezbożna, przeklęta! Od osiemdziesięciu czterech lat jestem na świecie i nic nikomu dobrego nie uczyniłam. Uczyłam ciebie mądrości, myśląc, że gdy umrę, będziesz Wielką Kapłanką, moją następczynią. Ale ty jesteś tylko zmokłą kurą! Fe!

Dio słuchała chciwie, przekleństwa lepiej uspokajały jej ból, niż pieszczoty.

— Jak to trzeba czynić? — Powiedz, jak? — powtarzała błagając.

— Oto jak, — zaczęła starka, spokojna już, jak lekarz u wężłowia chorego. Bądź szalona — bądź mądra; — zagub siebie, znajdź jego; wyjdź ze siebie — wnijdź w niego; bądź ślepa — a widząca!

— A ty, matko, czyś go widziała? — szepnęła Dio.

— Jednem okiem, tylko jednym! Iskierka w nie wpadła i dlatego jestem ślepa.

Nagle, ciało jej, wstrząśnięte cichym śmiechem, drzeć zaczęło, jak galareta.

— Ile oczu, wedle ciebie, ma człowiek? Dwoje? Nie, czworo. Dwoje w głowie, dwoje w karku. Te stają się ślepe, tamte widzą. Tamtemi patrzeć należy, nie temi. Wówczas zobaczysz, będziesz wiedzieć, przebaczysz!

Poruszyła się ciężko. Dio pomogła jej wstać, podała kule i stara chybocąc się na chorych nogach, powoli kierowała się nie ku wyjściu, jak Dio przy-

puszczała, lecz ku wewnętrznej grotcie, miejscu święte świętych. Niski mur z kamieni z bronzowymi drzwiami odchraniał próg. Matka Akakalla zbliżyła się, otworzyła drzwi i rzekła:

— Wejdz!

Ale Dio nie śmiała, wiedząc, że nikt prócz Wielkiej Kapłanki, nie powinien pod karą śmierci przekroczyć tego progu.

Stara popchnęła ją gwałtownie z tyłu. Dio weszła, schyliła głowę i spuściła oczy, żeby nie widzieć głębi grotty; widziała tylko biały las stalaktytów i pod swemi nogami schody wycięte w skale. Znowu tamta ją popchnęła. Dio zeszła jeden, drugi i trzeci stopień. Schody były kręte i ślizgie, a nogi jej tak drżały, że bała się upaść. Zatrzymała się.

— Podnieś głowę, — rzekła stara. No, podnieśże, głupia! — krzyczała uderzając kulą w głowę.

Dio podniosła głowę i zamknęła oczy.

— Widzisz? — pytała matka Akakalla, trzymając nad nią pochodnię w ten sposób, żeby oświecić głąb jaskini.

Dio nie odpowiedziała i jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Kapłanka mówiła głosem tak zmienionym, że nie wydawał się być jej głosem — tylko głosem innej osoby:

— Wiedz o tem, wiedz o tem dobrze, Dio, córko Aridoela, Wielka Kapłanko Matki: to nie człowiekowi Bóg każe cierpieć, ale to Bóg cierpi w człowieku; to nie człowieka Bóg zabija, ale to Bóg umiera w człowieku. Chwała niech będzie Ojcu, Synowi i Matce!

„Zobaczyć, wiedzieć, umrzeć? — Więc dobrze, niech umrę, bylebym wiedziała“, myślała Dio otworzywszy oczy i — zobaczyła.

W czerwonym świetle pochodni, łyż stalaktytowe padały jak krople krwi: w głębi groty stała woda, jak kałuża czarnej krwi, a ponad nią, na białym murze stalaktytów, wisiał, wykuty w czarnym marmurze, czteroramienny Krzyż.

II.

Tutankhamon z ciekawością przyglądał się małej soczewce z górskiego kryształu, rzeźbionej pieczęci przed chwilą kupionej dla niego przez Juti. Podniósł ją do światła, żeby lepiej przyjrzeć się delikatnemu rysunkowi.

„Śliczne, śliczne“ — chciał powiedzieć, ale nie powiedział, bo rysunek był zbyt dziwny.

Na łące pełnej kwitnących szafranów, tańczyły dziewczęta, wiotkie, gibkie jak trzcina, w króciutkich spodniczkach — dzwonach pełnych falbanek, tak sztywnych i kłujących, jak suche osty, cienkie w pasie jak osy, z odsłoniętymi, w górę sterczącymi, piersiami, wiły się w szalonych ruchach miotających ich ciała, niby konwulsje przedzgonnych bólów — rozkosz śmierci.

— Dlaczego one są bez głów? — pytał zdziwiony Tuta, patrząc na tysiące latających nad nimi punktów — gwiazdeczek.

— A kto ich pojmie, tutejszych mistrzów. Warjaci! — Zamamrotał Juti i zasępił się.

Wiedzieć o tem nie chciał, ale czuł w szaleństwie rysunku, szaleństwo tańca, zawrotny wicher ruchu, który okrywa to, co się rusza. Wiecznem uczynić przelotne, zatrzymać lecące — oto pragnienie tych bezbożników.

— Dlaczego podniosły ręce, niby kogoś wołając? — pytał jeszcze Tuta.

— Boga umarłego przywołują czarami, — z niechęcią odpowiedział Juti.

— Naprawdę tutejsi kapłani oddają się czarom?

— Naprawdę. Wkrótce czarownice będą tańczyć na górze.

— I Bóg się im pokaże?

— Ktoś się pokaże, skąd niewiadomo kto?

Oddają się takiej rozpuście, że i mówić trudno.

— Ciekawe, ciekawe. Chętniebym zobaczył.

Wszedł Tammu.

— A otóż i handlarz żelazem. Jeszcze nie wyjechałeś?

— Jeszcze nie, ale się wybieram.

— Poraz który? Coś cię tu trzyma, prawda? Może jesteś zakochany?

— Tak, ty wszystko wiesz.

— Wiem nawet w kim. Odrazu w dwóch dziewczętach, podobnych do chłopców; Itanie jawnogrzesznicy i Dio świętej. Zresztą różnica to niewielka.

— Niewielka, oczywista! jak dla głodnego chleba świeży lub suchy, — odparł Tammu ze śmiechem.

— Ale dlaczego jesteś taki żółty? — pytał Tuta, patrząc na niego. Rana już się zabiłiła?

— Już.

— W takim razie to od wątroby.

— Zapewne. Co tu masz?

— Widzisz, to czarodziejski kamień, posiada moc wywoływania zmarłych.

Tammu patrzył na kamień, pod światło przyglądając się rysunkowi.

— Dziwne, co? spytał Tuta. Tak na górze tańczą kapłanki. Gdybym mógł zobaczyć...

— A cóż można. Pójdziemy jeśli chcesz.

— Czyż można?

— Jeśli się nie boisz?

— Czego?

— Że cię złapią — zabiją. Kobiety nie lubią, żeby mężczyźni podglądali ich tajemnice.

— A cóż one takiego czynią?

— Nikt nie wie, ale zapewne nic dobrego, skoro niechcą aby ktoś wiedział.

— A nasze dziewczęta też tam będą? — spytał Tuta coraz bardziej zaciekawiony.

— Jakie nasze?

— Dio i Eoja.

— Będą.

— Przecież one święte?

— A cóż to znaczy? Sam powiadasz, że między świętą a kurtyzaną nie ma wielkiej różnicy — śmiał się Tammu.

Zaczął od żartu ale skończył — nieżartując. „Dziwne“ pomyślał, jak Tuta i nagle, niby ułknięcie skorpioną przeszło mu serce. Raz jeszcze popatrzeć na dziewczynę i chłopca i zobaczyć jaka różnica między świętą a jawnogrzesznicą.

Coraz częściej wydawało mu się, że jedynym wybawieniem jest shańbić swoją miłość, zabić ją, zbezczęścić. Jedno z dwojga — zabić miłość, albo siebie. „Nie będę żyć, zdechnę jak pies, ale siebie nie zabiję,“ upajał się najbardziej gorzkim z ludzkich uczuć — pogardą samego siebie.

Następnego dnia Tammu przyprowadził do Tuty Kilika, dostawcę okrętowego, ohydny starca o zezowatych, rozbieganych oczach. Tuta dowiedział się później, że Kilik to skończony łajdak, ale i wówczas już patrząc na niego, przypomniawszy sobie krążące po

mieście plotki, jakoby handlarz żelaza przyjaźnił się z byle kim. Kilik przyrzekł za dobrem wynagrodzeniem urządzić wyprawę na Dyktejską górę. Dostarczał okrętom drzewo, dziegieć i wełnę, skupując ją u pasterzy i chłopów mieszkających na górze. Jeden z nich koźlarz, zaprowadzi Tutę i Tammu na miejsce tańców i tak urządzi, że będą mogli wszystko widzieć.

— Upewniam was, panowie, że żałować nie będziecie. Niezwykła was czeka przyjemność.

— Jaka przyjemność? Mów jasno. Chcemy wiedzieć co nas czeka, może nie warto się wybierać?

— Jakto nie warto! Zobaczycie, czego nikt nie widział, wszystkie tajemnice kobiece...

Więcej nie chciał powiedzieć, tylko mrugał oczami, uśmiechał się i powtarzał: „Niezwykła was czeka przyjemność...”

III.

Po trzech dniach pojechali. Kilik towarzyszył im do miasta Lykhtos u podnóża góry Dyktejskiej, dalej iść niechciał i gdy dostał zapłatę, dał drapaka. Zapewne się czegoś zląkł.

To się Tucie nie podobało. Zresztą, mając dwunastu nubijczyków tworzących straż przyboczną, nie bał się całego wojska tjad. Gdy przed samym odjazdem Tammu spytał go: „Nie boisz się?” odparł dostojnie: „Nie jestem tchórzem, żehym miał się bać kobiet.”

W Lykhtos czekał na nich stary koźlarz—Gingr. Przenocowali w mieście, wyjechali zaś wczesnym rankiem, żeby przed zmierzchem przebyć niebezpieczny wąwóz Byka. Tutaj z początku jechał w lektyce, ale wkrótce musiał przesiąść się na muła. Uczynił to niechętnie — egipcjanie nie jeździli konno, uważając za rzecz nieodpowiednią siedzieć rozkrazony na grzbiecie zwierzęcia.

Tammu szedł obok Gingra i pytał go o tajemnice tjad:

— Cóż one czynią na górze?

— Tańczą, opętane przez Boga.

— A nie przez wino?

— Cóż im wino? Od wody źródlanej już pijane

— a także od wichru nocnego.

— Widziałeś jak tańczą?

— Ile razy!

— A tańczyłeś z nimi?

— Nie, mężczyźni nie dopuszczają. Ale gdy jestem sam, tańczę jak one, szukam polanki gdzieś w głębi lasu, żeby nikt nie widział, nie śmiał się i skacze — ja stary kozioł, tańczę ku czci Aduna. Ach jak dobrze!

— Kto ciebie nauczył?

— Jedna kózka, odbiła się od stada, pokochała koziołka. Tyle lat minęło, a zapomnieć nie mogę.

— Ładna była?

— To nie to, że ładna, ale do innych nie podobna; ciało tjady, jako ciało bogini, po niej każda kobieta mdła, niby woda — po winie.

Tammu spojrzał na starca. Włosy miał jak śnieg białe, olbrzymi, kosmaty, w koszuli ze skóry kozła, przypominał mu jednego babilońskiego bohatera, zwierzę — boga, Engidu.

Nie zna on życia ludzkiego

Podobny do boga stad,

Pasie się z kozami w polu

Do wodopoju chodzi z nimi rad.

— Czego one chcą? Dlaczego szaleją? — pytał dalej Tammu.

— A widziałeś kiedy, mój synu, jak jałówka skacze, gdy giez ją utnie? Żądło boga w ciele człowieka — jak żądło owadu; plecy i kark sztywnieją niby od ukąszenia skorpiona. I dziewczyna wścieka się jak jałówka...

Zamilkł, poczem uśmiechnął się, coś sobie wesołego przypomniał.

I zaczął znowu.

— Nachodzi, nachodzi to na nich, a same nie wiedzą co. Siedzi dziewczyna przy kołowrotku, cicho,

spokojnie, o niczem prócz wełny i wrzeczona nie myśli, nagle, słyszy jakieś wołanie, dalekie, pieszczotliwe, jakby kochanek z innego świata. Podnosi się, leci, jedna, druga, trzecia, roją się, niby pszczoły koło ula. „Na górę! na górę!“ krzyczą, biegną. Od wsi do wsi, od miasta do miasta, szaleństwo kobiet roznosi się jak zaraza.

— A, cóż ci idjoci, mężczyźni, patrzą na to? Dlaczego pozwalają?

— Nie pozwolić, jeszcze gorzej. Umrą z tęsknoty, ręce na siebie podniosą. Matki zaczną dzieci swoje zabijać. Tak było z trzema córkami króla Lamy, nie usłuchały wezwania boga, nie poszły tańczyć na górę, zmysły postradały, zapragnęło im się ludzkiego ciała. Rzuciły losy na swoje dzieci i ta, na którą padł los, oddała syna bogu, żywcem rozszarpały dziecko i pożarły, jak głodne wilczyce. A słyszałeś o królu Pentaju? Na północy, na Ziemi Matki, żył król Pentej Smętny. Nie czcił bogów, drwił z boskich tajemnic. Tjady go porwały, rozszarpały na kawałki, wśród nich była jego matka — syna nie poznała, zatknęła głową na tyrs i poszła w tan... Nie, nie, mój synu, Bóg jest mocny, nie nam z nim spór zaczynać.

— Czy to prawda, że u was, na Górze, też ludzi żywcem rozszarpują?

— Tak mówią. Przed dwoma laty rozszarpały pastuszka zato, że je podglądał. Szalone, same nie wiedzą, co czynią. Wszystko dobre co im wpadnie w ręce, człowiek czy zwierzę — w każdej ofierze jest Bóg...

— Jaki Bóg! — zawołał Tammu rozgniewany. — To nie Bóg — to djabeł!

— Nie bluźnij, synu mój! On tu, na Górze, usłyszysz. Będzie nieszczęście.

- Kto jest tu?
- Wiesz dobrze.
- Widziałeś go?
- Gdybym widział, jużbym nie żył.
- A skądże wiesz, że jest tutaj?

Starzec najpierw nic nie odrzekł, a potem rozeźmiał się dobrotliwie:

- Ej, głupi, głupi!
- To mnie głupim nazywasz?
- Ciebie, moje dziecko!
- Za co?
- A za to, że nie umiesz odróżnić Boga od djabła.
- A ty umiesz?
- Ja? Jeszczem od ciebie głupszy, choć starszy.

Ale są mądrzejsi od nas. Mówię to, co od nich słyszałem. Co myślisz o królu Pentaju Smętym?

— On do mnie podobny. Też nie chciał nazwać djabła Bogiem.

— Słusznie. I ty Smętny. Bo jesteś rozumny, ale nie mądry. W twoim smutku, kto się smuci, w twej udręce, kto się dręczy?

Tammuzadad spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— To nie są twoje słowa?

— Nie moje.

— A czyje?

— Znasz matkę Akakallę? „Wielka Ofiara — to syn: ciało jego ludzie pożywają. krew jego piją“. Dlatego też rozszarpują Boga — Ofiarę.

„Boga winno się poświęcić“ przypomniał sobie „Tammu.—Bóg pożerany przez ludzi“. Dobrzy ludzie, ale i dobry Bóg, mruczał ze swym ciężkim, kamienym uśmiechem na twarzy, oddalając się od starca. Ten patrzył za nim w ślad, kiwając głową, niby żałując Smętnego.

Już mrok zapadał, gdy minęli parów Byka; zeszli na dno przepaści, przeszli Kozi Bród, szumiący górski potok, znów wdrapali się na górę, i znaleźli się na płaskowzgórzu, nagiem, bez życia, jak obumarła pustynia.

Noc zapadła, cicha, duszna, rozjaśniona ciągłymi błyskawicami.

— Będzie burza — rzekł Tammu.

— Nie, patrz, głowa Aduna czysta.

Gingr pokazał palcem na kraniec płaskowzgórza, gdzie między kłębiącymi się chmurami coś błękitniało, jak olbrzymi szafir: były to śniegi i lodowce na Dyktejskiej górze.

— I tam tańczą, na śnieżnych polach — przypomniał sobie Gingr tańce tjad z czasu zimowego przesilenia dnia z nocą. — Raz omal nie zamarzyły, biedaczki! Widziałem jak tańczyły wśród zawiei: pół nagie ciała ich były sine, tyrsy od mrozu pokryły się cienkimi kryształami lodu i dzwoniły niby szklanne.

Napróżno silił się opowiedzieć jak czarownice tańczyły tjady, pływały w księżycowej burzy, widma księżycowe.

Droga była równiejsza. Tutaj znów wsiadł do lekyki i zaprosił do siebie Tammu.

— Dowiedziałeś się czegoś od starca? — pytał go.

— Dowiedziałem się. Kilik nie kłamie. Niezwykła nas czeka przyjemność.

— Jaka, więc jaka? — interesował się Tuta.

— Zobaczymy jak żywcem rwą, na kawały ludzką ofiarę i pożerają ją.

— Nie wierzysz?

— Nie.

— Dlaczegożby nie? Ludzie przecie nic innego nie czynią, tylko zabijają się i pożerają nawzajem. Trzeba być wilkiem lub owcą. Albo ty pożresz, albo ciebie pożrą. W nienawiści tak samo jak i w miłości. „Słodkie jabłuszko, jakbym cię zjadł!” śpiewają chłopcy dziewczętom. Stara piosenka — ta sama od początku świata — kochać — zabić — zniszczyć.

Mówił jakby w gorączce, drżąc od cichego śmiechu, jak czarne niebo od złotych łyskawic.

— Pierwszy świat zginął w wodach potopu a przed końcem ludzie byli obłąkani, zabijali i pożerali jeden drugiego w bratobójczej wojnie. Zdaje się, że i drugi świat także samo zginie...

— Kto wie, kiedy drugi świat zginie, a tymczasem „Słodkie jabłuszko jakbym cię zjadł!” to nie głupia piosenka, — śmiał się Tuta.

— Pewno, że nie głupia, żeby tylko wiedzieć, kto kogo zje — ty ją, czy ona ciebie.

— Dość żartów. Co ci jeszcze starzec powiedział, czy mogą nas zjeść, tam, na górze?

— Mogą. Ja jestem z żelaza — więc za twardy dla nich, ale ty jesteś „słodkie jabłuszko”!

— Żeby tylko dostać się na ząb ładnej dziewczynie, a nie jakiejś starce — mówił Tuta, mrużąc jak kot.

Obaj zamilkli i patrzyli jak ciche błyskawice zapalały się na czarnym niebie, mrugały do siebie, śmiały się — djabelskie ognie.

IV.

Nagle lektyka stanęła. Tamm i Tuta wychyliwszy się zobaczyli, że Gingr przyłożył ucho do ziemi, słuchając. Słuchali i oni, ale nic nie usłyszeli.

Gingr kazał pogasić pochodnie, spętać muły, zdjąć dzwonki a ludziom zalecił milczenie.

— Nie można dalej jechać — powiedział. — Wasze miłości pójdą za mną pieszo, a reszta tu poczeka.

Tuta zaczął się sprzeczać, niechciał się rozstać z nubijczykami, ale przewodnik oświadczył stanowczo że w takim razie nie ruszy dalej. Poszli we trzech, na przód Gingr, trzymając w ręku latarkę, która rozjaśniała ziemię tylko tam, gdzie stawiał nogę, za nim Tamm a dalej Tuta. Szli w ciemnościach, gęsiego, jak ślepi trzymając się za ręce.

O trzysta kroków zaczynała się ścieżyna, niewyraźna, podobna do śladu zwierzęcia na trawie. Przy białym świetle latarni zarysowały się czarne kontury drzew, pod nogi kładły się puchowe poduszeczki, pewno kępki mchu, zachlupała woda pod nogami i zapachniało wilgotnem błotem.

Gingr zatrzymał się i znów nasłuchiwał. Dolał słaby, ledwo dający się uchwycić dźwięk; jakkolwiek wysilali słuch nie byli w stanie rozróżnić co to takiego, jakby olbrzymia mucha uderzała skrzydłami o szkło, albo wiatr świsnął w dziurce zamku. Dźwięk zamarł i zdawało się, że nic nie było, tylko w ciszy szumiała krew w uszach.

Poszli dalej. Błoto się skończyło. Na łagodnym stoku góry, nogi ich pośliznęły się po szpilkach, jak po lodzie i zapachniało smolne ciepło lasu.

Czarne pajęczyny drzew rozerwały się i przy ciągłym blasku błyskawic zobaczyli u samych nóg ścianę skały, a niżej, polanę, otoczoną z jednej strony skałami i z drugiej sosnami, z dwoma przejściami — pewno łożyska wyschłych potoków — jedno wprost naprzeciw nich, a drugie na prawo, trochę niżej. Polana była okrągła, dobre miejsce do tańca, pokryta równą, niby ogrodową, trawą, z białymi gwiazdkami rumianków i liljowemi dzwoneczków.

U podnóża skały, prawie koło nich stała sosna, tak wysoka, że gałęzie jej rozciągały się nad skałami w kształcie namiotu.

Gingr wszedł w ten namiot, oświecił latarką deskę przerzuconą od skał do sosny, podał rękę Tucie, pomógł mu stanąć na desce, wsadził na grubą, płaską gałąź tak wygiętą, że można było na niej siedzieć wygodnie niby na krześle.

— Dobrze ci? — zapytał.

— Lepiej nie może być w królewskim namiocie, — zachwycił się Tuta.

Na drugiej gałęzi, niżej, usiadł Tammu, nad nimi wyżej Gingr. Zgasił latarkę i otuliła ich czarność gałęzi, pachnąca, ciepła.

Tuta był jednocześnie ciekawy i pełny bojaźni, Tammu zaś czuł smutek, jakby z góry wszystko wiedział.

„U—U—U“ — wycie wilków, gdzieś daleko — wysoko, na niebie.

— Co to? — spytał Tuta, ale nikt mu nie odpowiedział.

W tym dźwięku było coś niezwykłego, ale i nieludzkiego, coś tak strasznego, że dreszcz przeszedł po ciele Tuty.

Umilkło wycie, a potem znów, coraz bliżej, głośniejsze. Wilki wyły na niebie, a pod ziemią ryczały byki. Wycie wilków i ryk byków zlały się w głos zbliżającej się burzy.

Nagle między pniami sosen, na wyższej polanie, zajaśniało światło pochodni, rzucając w koło iskry i w purpurowym dymie czarne cienie jęły pisać.

Jak stado wilków wyły trąby-konchy, bębny ryczały rykiem byków, flety świszczały niesamowitym wizgiem, a ciężkie odgłosy tympanów rozlegały się niby podziemne gromy.

Jak burza leciały rozedrgane tańcem, niewiasty, dziewice, dziewczeczki i stare kobiety, odrzucone w tył głowy, żmije na nich, niby żywe wianki, włosy na wiatr puszczone, biała piana na ustach, twarz od purpurowego odblasku pochodni, cała we krwi. Trzęsące się staruszki kołysały w ramionach nowonarodzone koźlęta, a młode matki karmiły swą piersią wilczęta.

Zsunęły się na polanę, zatańczyły, zaśpiewały a zdawało się, że z nimi cała Góra tańczy.

Świszcze, gwizdże, leci
Mać z chmury gradowej
Pochodnię zaświeci!
Zagrzmie grzmotu ryk
Zaryczy ziemia, jak byk,
I jak byk zatupocze.
Krzyczy, gwizdże, łopocze!
Wśród dolin, wśród gór,
Niewiast i dziewic chór —
Pędzimy, wróżymy,

Z nami, z nami, z nami!
 Ktokolwiek jesteś, Panie,
 Lew, Wąż, Byk
 Zjaw się nam!
 Ciałem, ciałem, ciałem,
 Stań się sam!

W koło, na okrągłej polanie, wił się korowód,
 tak nadpowietrznie, tak lekko, że białe główki ru-
 mianków i liljowe dzwoneczków ledwie się chyliły
 pod dotknięciem widm. Olbrzymim kołem obracał
 się krąg zewnętrzny, a wewnątrz, mały, zatrzymywał
 się, nie drgając, jak oś w kole.

Kapłanki-tjady w nim stanęły tak zwarte, że nie
 widać było co czynią. Nogi ich nie ruszały się, tylko
 ręce chodziły w tę i w tamtą stronę, zgrabnie, lekko,
 jak ręce gręplarek.

„Co one czynią?“ — pytał siebie Tuta, nie
 mógł nic dojrzeć, ani pojąć. Nagle wydało mu się,
 że jakiś strzęp krwawy, wśród nich zatrzepotał, po-
 czuł, że mu słabo i zamknął oczy, żeby nie widzieć.

Śpiewały cicho, a pieśń ich brzmiała jak jęk
 i westchnienie.

Cierpimy, Panie, pragniemy
 W wielkiej pożądliwości
 Ciebie, Panie, pragniemy
 Z miłości.
 Nigdy nie chcemy wiedzieć
 Jak teraz nie wiemy.
 Boga, człowieka czy zwierzę,
 W sztuki szarpiemy.
 Ale się spełni przecie
 Boski miłości zew,
 Rwijcie ciało zębami
 Pijcie gorącą krew.

Nagle korowód zatrzymał się niby wryty i wszystkie
 padły twarzą do ziemi. Tylko kapłanka stojąca po-
 środku kręgu podniosła ręce ku niebu, błagalnie:

— Przyjdź! Przyjdź! Przyjdź!

I taka radość była w jej głosie, jakby już wi-
 działa tego, kogo wołała.

„Kto to? — Kto to?“ — Tammu poznawał, nie-
 poznając, kochaną, kochający. „Szalona! Żądło Boga,
 jak żądło baka... „I cóż kocham taką?“ spytał siebie,
 w nadziei, że odpowie nie, ale odpowiedział z rozpa-
 czą: „Kocham.“

Zaskrzypiały gałęzie. Ciężko poruszył się, jak
 niedźwiedź szukający miodu w dziupli drzewa. Po-
 słyszał nad sobą przestraszony szepł Gingra, uśmiech-
 nął się, a kocią rękę Tuty odtrącił brutalnie. Natrafił
 nogą gruby sęk, i trzymając się rękoma za wyższy,
 na którym siedział, zrobił krok dwa: rozgarnął ga-
 lęzie i wychylił głowę. Łazł niedźwiedź do miodu,
 pszczoł się nie bał.

Zobaczyła? Nie, patrzy wyżej, w niebo. Ale-
 spuści oczy i zobaczy. Spuściła — niewidziała,
 jak nocny ptak nie widzi w dzień. Zrobił jeszcze
 krok, bardziej rozgarnął gałęzie i cały wysunął się
 w jasne światło pochodni: „Patrz, no patrzże, ślepa
 sowo!“

Zobaczyła. Gniewem spłonęła jej twarz, jak
 wówczas, na skale, nad morzem, gdy przeleciał nad
 nim dziurł Britomafis-Łowczyni.

Podniosła tyrs. Z sercem zamierającym w na-
 dziei czekał; rzuci na niego tyrs, ręką wskaże, za-
 woła: „Zwierz“ i jak łowczyni spuści ze smyczy
 sforę wściekłych ogarów: „Trop go! Rozszarpuj!“

Ale oczy ich się spotkały i pojął, że znowu, jak
 wtedy, ulituje się i przebaczy. O lepiej, żeby mu

wypaliła oczy płonąca głownią niż tym przebaczącym wzrokiem!

Rękę trzymającą tyrs opuściła na leżącą u jej nóg dziewczyną. „A suczko“ poznał Tammu Eoję, gdy podniosła głowę. „Więc choć ty pomóż, krzyknij, krzyknij jak należy!“

Krzyknąć chciała Eoja, ale Dio zakryła jej usta ręką.

Prócz nich dwóch, nikt go jeszcze nie widział. Jak padły twarzą na ziemię, tak dotąd leżały, nie ruszając się, wiedziały, że Bóg jest tutaj, zobaczyć go — znaczy umrzeć.

Dio odwróciła się do Tammu plecami i wskazując na przeciwną stronę zawołała:

— Io Adun! za mną siostry!

Wszystkie podniosły się, odpowiedziały krzykiem:

— Io, io Adun!

Zaczęły biec, w stronę gdzie wskazywał tyrs, ku niższemu przejściu.

V.

Tammu nie miał czasu przyjść do siebie, gdy polana już była pusta, ognie pogasły i znów rozciągnęła się nad nimi noc czarna, tylko białe błyskawice błyskały, mrugając do siebie — ogniste djabły. „A Kilik, szelma, skłamał; nie było przyjemności“ — uśmiechał się swym zwykłym kamiennym uśmiechem. „I Gingr, stary kozioł, też kłamie, gdy mówi, że Bóg jest na górze, niema ani Boga, ani djabła, niema tu nikogo!“

— Kto tu, kto tu? Tu, tu tu! — coś zadzwoniło, zatękało mu w uszach, jak robaczki w suchym drzewie, w starym domu, w nocy gdy spać się nie może.

„To krew w uszach mi szumi!“ pomyślał i zawołał.

— Gingr, Tuthankhamon, gdzie wy?

Nikt nie odpowiedział, tylko znowu zadzwoniło, zatękało:

— Tu, tu, tu! Kto tu? Kto tu?

— Kto tu? — krzyknął i jakby czekając odpowiedzi, nadśluchiwał.

Ale dźwięk zamarł, nastąpiła głucha cisza, i nagle ogarnął go taki smutek, że pomyślał: „Pętlę skrócić z pasa i na tej o to gałęzi — tu, tu, tu, — powiesić się.“

Chwycił się obu rękami gałęzi, wdrapał, zeskończył ze skały, stoczył się po śliskich szpilkach, o mało

nie ugrzązł w błocie. Długo błdził, skacząc z jednej kępki na drugą, torując sobie drogę, w ciemnościach, przez gąszcze, trzeszcząc suchymi gałązkami, jak dziki zwierz. Wydobył się w końcu na brzeg lasu. Zobaczył w dali ogień, tam gdzie czekali nubijczycy z lektyką i podszedł do nich.

Nagle z za lasu wyskoczyło coś ogromnego, kosmatego jak niedźwiedź, coś co biegło na tylnich łapach, z wierzchu białe, pod spodem czarne. Tak mu się to najpierw wydawało, a potem gdy się przyjrzał, zobaczył, że to Gingr z Tutą na plecach. Biała była lniana odzież Tuty, czarna-kozia skóra Gingra. Gingr skakał, bo Tuta wpiwszy się w niego rękoma i nogami, bił go, bódł niby ostrogami, jak oszalały jeździec konia.

— Szybciej, szybciej, szybciej! Lecą za nami, słyszysz? Matko Izis, Ojciec Amomie-Atonie, zlitujcie się nad nami!

W stosunku do olbrzymiego Gingra egipcjanin był niewiele cięższy od kota, ale stary zmęczył się i ledwo dyszał, jak ochwacony koń. A przyszły król Egiptu siedział na nim wpół żywy, wpół umarły. Brzuch go bolał od strachu, jak gdyby nigdy nie cierpiał na zatwardzenie.

Zdawało mu się, że goni za nim cały pułk diabłów, lada chwila złapią, rozszarpią, zjedzą.

— Stój, poczekaj, nie bój się. To ja, Tammu — krzyknął za nim Tammu, ale Gingr usłyszawszy krzyk, zaczął biec jeszcze szybciej. Dopiero dopędził ich przy ognisku nubijczyków.

— A kupiec!... — jęknął się Tuta, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

— Myślałeś, że mnie zjedli? — kończył za

niego Tammu, i roześmiał się, tak, jak gdyby rzeczywiście spotkała go niezwykła przyjemność.

— — — — —
W dziekiej, leśnej dolinie tam gdzie głębokie mchy, między korzeniami śpiących dębów, usłały miękkie łoża, tjady zatrzymały swój bieg.

— Tu przenocujmy, siostry. Budujcie szałas, rozpalcie ognisko! — powiedziała Dio i gdy rozbiegły się po lesie szukać suchej jedliny i gałęzi na szałas, poszła w taką dzicz i taką głusz, gdzie nikt jej nie mógł znaleźć, tam upadła twarzą w trawę i ukryła się, w niej z głową, schowała, jak do legowiska chowa się konający zwierz.

— Tammu — bracie mój, cóżes uczynił! — szepnęła tak, jak wówczas, nad brzegiem morza.

Przypomniała sobie jak się uśmiechał, stojąc na drzewie, gdy spotkały się ich oczy. „Ten kogo wołasz nie przyjdzie nigdy, a gdyby nawet zjawił się, biada żyjącym, gdyż to nie Bóg, ale djabeł“, o to co czytała w jego uśmiechu: „ty sam djabeł, zabójca boga“, powiedzieć chciała, ale powiedzieć nie mogła. „Tyś brata swego, Jola, zabiła“ coś nad nią jęknęło. Przypomniała sobie, że w Dyktejskiej pieczarze tam, gdzie krzyż i ołtarz ludzkich ofiar, Matka Akakalla spytała ją: „Przebaczyć nie możesz?“ Tammu za nią odpowiedział — Tammu za Jola, brat za bratem powstał. I przypomniała sobie jeszcze, ojcowie i matki, gdy dzieci swe niosą na ofiary zawiązując je w worku, jak kozłeta i jagnięta, żeby twarzy nie widzieć, nie ulitować się. I brat jej, Jol szamotał się w takim worze, a po spełnieniu ofiary, zbolała matka zaśpiewała piosenkę:

Czy to moje dzieciątko
 Płacze w strachu tajemnym?
 Nie, to tylko jagniątko
 Ryczy w worku ciemnym.

I jakby w odpowiedzi na to, zadzwoniła w uszach
 Dio inna piosenka:

Ale się spełni przecie
 Boski miłości zew,
 Rwijcie ciało zębami
 Pijcie gorącą krew.

Czyż ręce jej nie są od krwi splamione? Czyż
 zapach krwi nie zamarł na jej ustach? Podniosła się,
 chciała biec, ale nogi odmówiły posłuszeństwa
 i upadła z cichym jękiem. Wszystko zakręciło jej
 się w oczach, wionął krwawy tuman a w nim ośle-
 piająco biały, jak słońce, ognisty krzyż.

MINOTAUR.

I.

„Bóg żąda ludzkiej ofiary“ myśleli Kreteńczycy, słysząc coraz częściej w ostatnich dniach, rozlegające się podziemne gromy.

Jeszcze ziemia nie drżała, ale lada, lada chwila zadrży, zatańczy jak wściekły byk. „Ofiary! ofiary!“ ryczał już z pod ziemi głodny bóg Byk, Minotaur.

Na arenie w Knossos odbywały się walki byków. Wielu było rannych, nikogo zabitego. Wiedzieli ludzie, że mieszać się nie wolno do pojedynku boga z człowiekiem. Święte prawa igrzysk zabraniały wybierać ofiary i przyspieszać ich spełnienie, bóg sam winien to uczynić, ale serca ludzkie dręczyła chciwa żądza morderstwa.

— Patrz, patrz, ten siwy zrzuci ją z rogów. Nuże, nuże, siwułki, uderz! — mówiła sąsiadka Tuty, siedząca w tym samym królewskim namiocie, Eranna, córka Thraizona, małżonka jednego z najwyższych dostojników kreteńskich. Tuta przysiadł się do niej, cicho opuściwszy swe honorowe miejsce wśród królewskich eunuchów.

— A, a, a znowu chybił! — zajęczała Eranna, jakby z bólem. — Ach, niezgrabiarz, zupełny niedźwiedź! Odrobinę wyżej lewy róg i brzuch by jej rozpruł jak nożem.

Przez opalową różowość jej rumieńców, bieli deł, bardzo sztucznych maści — „wieczna młodość“, do był też jeden z cudów dedali, — występowały po

na całą twarz, szczególnie koło mocno ubarwionych, niby krwią pomazanych ust, drobne zmarszczki, jak mówiły rywalki, „szczeliny w świeżo pobielonym murze“. Eranna dostojna, zmanierowana, obłudna, czysta, zimna niby lód a w tajemnicy rozpustna, bardzo się podobała Tucie.

Przysiadł się do niej, prawil miłe słówka, chciwie patrząc w głąb niskiego do pasa, wykroju sukni z drogocennej materji, dwubarwnej, zielono-lazurowej, jak woda morska, ze srebrnymi i złotymi wyszyciami — delikatne łodygi roślin, muszle i pływające ryby. Wycięcie jak u wszystkich kobiet kretańskich odsłaniało całe piersi. Tuta przyzwyczajony był do niewinnej nagości, ale to było coś innego.

O te dwa jabłuszka, „Słodkie jabłuszko, jakbym cię zjadł“, piersi czterdziestoletniej kobiety, świeże jak szesnastoletniej dziewczyny, dwa ostre koniuszki, brunatno-różowe, też podmalowane, a na każdym z nich jeszcze plamka rdzawa — kropla krwi na końcu noża.

„Żeby piersi nie traciły kształtu, robią poronienia“ przypominał sobie Tuta jeszcze jedną chytrą spryciarzy dedali.

Eranna widząc, że nie prędko nastąpi, to czego pragnęła, odwróciła się od areny z niezadowoleniem, zauważyła chciwy wzrok Tuty i posłyszawszy namiętny szept, spytała:

- Co szepczesz?
- Piosenkę.
- Jaką?
- A taką, słuchaj.

Mówili po egipsku, dobrze znała ten język: modny na tutejszym dworze.

Tuta przysunął się bliżej i szepnął na ucho:

Chciałbym być niewolnicą, która ją rozbiera
 Całą nagość mej siostry zobaczyłbym ja —
 Chciałbym być niewolnikiem, który jej szaty pierze,
 Upoiłbym się wonią jej ciała i jej szat.
 Chciałbym być złotym pierścieniem na siostry mojej
 [palcu,

By wiecznie mnie nosiła i strzegła pilnie mnie,
 Chciałbym być mirtu bukietem przypiętym do jej sukni
 Zacałowałbym wtedy mojej kochanki pierś.

- Ładna piosenka? — spytał.
- Niebrzydka.
- A jest jeszcze inna, lepsza.
- Powiedz.

Znów zaszeptał:

Mój królu, mój bracie, mój Boże,
 Jak dobrze mi do wody z tobą zejść
 Ku rozkwitającym lotosom!
 Jak dobrze mi jest kąpiel z tobą brać,
 Pokazać ci moje ciało
 Poprzez przejrzystość lnianej tkaniny
 Wonnością namaszczonej.

Pochyliwszy się ku wycięciu sukni, wciągnął w siebie zapach muszkatu, mirry, dręczącej tuberozy i czegoś jeszcze słodkiego a strasznego, zapach rozkładającego się ciała kobiecego. „Jako że wszyscy rzućni będziecie na dno otchłani“ — poczuł nagle w tej niezdrowej woni.

— Jakiego zapachu siostra moja używa? — pytał ciekawie.

— A czyż takich niema u was, w Egipcie? Cały Memfis, mówią, to jedno naczynie pachnące.

— Takiego niema, takiego nigdzie nie ma, — szepnął. — On jak ty... upajające.

Omali nie powiedział „rozpustne“, a gdyby i powiedział, pewnoby się nie obrażała.

— Dziękuję za pochwałę — roześmiała się Eranna.—A pan mój lubi teco są pijane? Wiem, po co chodził na górę, kogo podglądał, — pogroziła mu palcem.

„A może i wie, jak dałem drapaką, na plecach Gingra“, zaniepokoił się Tuta i zmienił temat rozmowy.

— W Egipcie, na ścianach naszych świątyń, takie widzi się malowidło: bogini miłości Izyda-Hathor, karmi piersią króla, cudnego młodzieńca; jak niemowlę do piersi matki, tak on się tuli do boskiego łona...

— I cóż? — uśmiechnęła się złośliwie.

— Piersi siostry mojej, jako pierś bogini miłości.

— I cóż? — powtórzyła i uśmiechnęła się jeszcze złośliwiej.

W milczeniu patrzył na łono, jak kot na śmietankę.

— Zabawni ludzie, wy Egipcjanie! — zaśmiała się Eranna.

— Dlaczego zabawni?

— Bardzo przewidujący. Z góry budujecie sobie groby, wieczne domy, i czego wy nie gromadzicie, żeby na tamtym świecie nie było wam nudno! Książeczki z miłosnemi bajeczkami i takie obrazki o których nawet wstyd mówić... A co, czy nie prawda?

— Prawda.

— I ty tak uczynisz?

— Ja, jak wszyscy.

— A chcesz, dam ci moich zapachów? Położysz je w grobie i będziesz o mnie pamiętał na tamtym świecie. Wiesz, jak się one nazywają?

— Wiem.

Szepnęła mu w ucho coś takiego, od czego byłby się zarumienił, gdyby czciciel bogini Hathor wogóle mógł się rumienić.

Zwróciła się do czarnej niewolnicy, trzynastoletniej dziewczynki, która trzymała nad nią parasol-wachlarz; z kręgów zwężających się ku środkowi, brunatno złotych, wyglądał jak olbrzymi, wpółzwiędły słonecznik. Parasol opadł, zakrył ich oboje. Eranna spojrzała Tucie prosto w oczy i nagle, jakby zawstydzony się, spuściła wzrok ku wycięciu sukni.

Tuta zrozumiał, i przypadł do jej piersi, jak młodzieniec-król, do piersi bogini Hathor.

— Co czynisz, co czynisz? Zobaczaj, — śmiała się, Eranna, nie broniąc się wcale.

Czarna niewolnica uśmiechnęła się do nich, niewinnym uśmiechem dzikuski, a oni nie wstydzili się jej, jak ludzie nie wstydzą się zwierząt.

Tuta poczuł na swych ustach mdły smak rózu, mimowoli zlizął ciemny punkcik, kropelkę krwi z końca noża.

Krótką była chwila rozkoszy: miał zaledwie czas, oderwać się od „słodkiego jabłuszka“ gdy parasol, znów się unióś.

— Nie zapomniałeś o mojej prośbie? — pytała spokojnie Eranna.

Prosiła o swego kochanka, który był zapaśnikiem na arenie w Knossos, a chciał przejść na służbę króla Egiptu.

— Prośba pani mojej jest rozkazem, już spełniona, — odparł Tuta.

Na dany przez Erannę znak parasol znów opadł i dziecko przypadło do piersi matki. To się podobało Tucie, uczciwie, bez oszukaństwa; zapłacił — otrzymał.

— Patrz, patrz! mówiła ona. Bielutki, Pianeczka, kochanek Pazyfae... Co mu dziś jest? Skacze jak wściekły! A, a jaki straszny, boski! Sława Adunowi, w końcu się coś zacznie...

— A tancerka? — spytał Tuta nie poznając.

— Czyż nie widzisz? Sama narzeczona boga Byka, Pazyfae — Eoja!

II.

Eoja przyjechała do miasta w przeddzień igrzysk, żeby zobaczyć kupca z Byblos, który jej przyniósł ostatni list Itobala.

Gdy przeczytała, że ojciec przebaczył i przysłała błogosławieństwo ciężar spadł jej z duszy, tak się ucieszyła że chciała tańczyć i pomyślała: „Jak to dobrze, że dziś igrzyska, zatańczę, jak nigdy jeszcze!“

Tegoż dnia, kilka godzin przedtem, dowiedziała się o otwarciu igrzysk. Miałaby jeszcze czas, ale nie chciała, zawiadomić Dio, która pozostała w swoim samotnym, podmiejskim domu; zbyt jej teraz ciężko było wejść w tłum i tańczyć. Wiedziała, z jakim bólem wróciła Dio z gór, bo pamiętała bezwstydną uśmiech tego djabła Tammu, gdy patrzył na tańce tjad.

W mieście dowiedziała się też, że przed trzema dniami, właśnie dnia tego, gdy z powodu niedomagania króla, odroczono igrzyska, złapano wolarza, chcącego spoić Pianeczkę oszałamiającym napojem. Tutajże, na miejscu igrzysk, wedle świętych praw, została dokonana kara, powieszono go na pierwszym sznurze, który popadł pod rękę, gdyż chceć spoić Byka — to była zbrodnia straszliwa. Niemniej przed śmiercią miał czas wymienić imię swego współnika, Kinira, syna Uamara. Ale nikt temu nie uwierzył. Kinir był powszechnie poważanym człowiekiem i śmiesznem było mieszać go do podobnej sprawy.

„To on, Tammu, djabeł, czyha na moją duszę“ myślała Eoja słysząc imię Kinira. I z pewnością łatwo od swego zamiaru nie odstąpi, nie udało się raz, — na drugi może się uda. Trzeba by zobaczyć Pianeczkę, przyszło jej na myśl. Ale jakoś dziwnie łatwo o tem zapomniała. „Dziś dobry dzień, więc wszystko dobrze pójdzie. Zatańczę jak nigdy jeszcze!“

Wybiegła na arenę. Byk był sam, wszystkie inne zwierzęta już usunięto. Nie było też tancerzy ani tancerek.

Zobaczywszy Eoję szedł ku niej powoli, spuściwszy rogi, wznosząc kopytami tumany pyłu, z głuchym rykiem, nierównym. Czekala na niego, nie ruszając się, tylko szukając oczyma jego oczu; wiedziała, że najlepszą bronią do opanowania zwierzęcia jest ludzki wzrok. Wzrok jego uловиła, ale obcy, mętny, jakby pokryty siatką. Nie on, nie on, ktoś inny spojrzał na nią jego oczyma! Wściekał się, prawda, zawsze lecz było to udane, tylko dla widzów, a w rzewistości tańczył z nią razem, rytmicznie, poddając się muzyce. A teraz idzie, niezgrabnie, ciężko, głupio, jakby pijany.

Podszedł blisko, skoczył, rzucił się wściekle, jak jaskółka wleciała, przeleciała przez rogi na plecy. Położyła swą główkę między rogami. Podniósł mordę i poczuła oddech pijany. Nie przelekła się. „Cóż to że pijany, poskromię i pijanego. Wszystko będzie dobrze. Zatańczę jak nigdy jeszcze!“ — powtarzała niby zaklęcie.

Byk stanął dęba. Widocznie chciał się przenieść na wznak i ciężarem swym zmiażdżyć tancerkę. Ale już zeskoczyła i zanim zdążył odwrócić się do niej, była na drugim końcu areny.

Nagle spojrzawszy na tłum zobaczyła, obok królewskiej łoży na honorowej ławie Kinira i Tammu. „A suczka, dostała się! Teraz już koniec, nie wywinie się!“ — czytała w ich oczach. Ale nie przelekła się: „Wszystko będzie dobrze, zatańczę jak nigdy jeszcze!“

Ostry. niby ostrze noża, koniec rogu zadrasnął jej plecy. Byk przybiegł do niej z tyłu, gdy patrzyła na Kinira i Tammu. Miałaby czas odskoczyć, gdyby ruchy zwierzęcia były jak zawsze zrównoważone i rytmiczne, ale on znów posunął się nagle, zakotłował się, głupio, jakgdyby był pijany i dotknął jej mimowoli.

Koniec rogu znów tylko ześliznął się po plecach i naruszył skórę. Ale już — cienką strugą ciekła ciepła krew.

Zobaczywszy krew, tłum zawył:

— Zabij, zabij, zabij!

Błagano Boga Byka o przyjęcie ofiary. Król Ildomin wysunął swą mordę byka z poza zasłony namiotu; powiał czerwoną, jak krew, chustą i flety zagrały pieśń ofiary.

— Zabij, — błagała Eranna wraz z innymi.

„Jeśli Eoja zginie, zginie z nią i Dio“ — pomyślał Tuta i wstał.

— Dokąd idziesz? spytała Eranna.

— Do króla.

— Po co?

— Prosić o łaskę dla Eoji.

— Nie trzeba, siedź. nie puszczę cię — rzekła, schwyciła go za rękę i posadziła obok siebie, prawie przemocą. — Czy ci tu źle?

Parasol zniżył się i słabnąc, upojony zapachem kobiecego ciała — zapachem miłości i śmierci — Tuta

przypadł do piersi bogini Hathor. „Jak podle!“ myślał. Ale im podlej, tem słodziej!“

Eoja tańczyła, jak nigdy jeszcze. Krew sączyła się z jej pleców, ale nie czując bólu, niby jaskółka latała, przelatowała przez byka. Mrok zapadał, dręczący. Białe mętne niebo wisiało nisko, niby pułap. Duszno było, jak w łaźni, a w tej zadusze dwoje zwierząt — byk i tłum — jednako spragnieni krwi.

Eoja przypomniała sobie, jak to raz o zmierzchu, gdzieś na odludnem przedmieściu Byblos, pijany włóczęga chciał ją zbezczęścić. Wówczas się obroniła, ale teraz już się nie obroni. Dwoje pijanych zwierząt szło ku niej z tą samą żądzą: zbezczęścić, zabić.

I przypomniała sobie jeszcze, jak małe dzieci, ofiary Molocha, szamoczą się w workach: ona szamocze się w takimże samym worku.

Nagle żal jej się uczyniło samej siebie, a wraz z tym żalem serce ukłuł strach.

Byk znów szedł ku niej — już nie wiadomo poraz który, zawsze zdawało się będzie tak iść; wiedziała, że jeśli zaraz nie odskoczy, przebodzie ją rogami. Ale nie mogła się ruszyć; ręce i nogi były bezsilne, jak w straszliwym śnie, ociężała cała śmiertelnym ciężarem.

— Matko, pomóż! — zajęczała podnosząc oczy ku niebu.

Przed zachodem słońca po białem niebie rozlała się purpurowa krew, jak gdyby i tam w niebie, spełnić się miała ofiara. Eoja zakryła oczy.

Głucho zatętniały bębny, flety tęskliwie zajęczały a chór śpiewał:

Wesel się czysta dziewico,
Gotuj weselne leże;
Żar niebiańskiego gniewu
Niech od miłości cię strzeże.
Płyn z białego łona
Krwi, krwi czerwona!
Boskiej jałówki łono
Miłośnie pokryje byk —
Tobie śpiewamy
Ciebie chwalimy
Od Boga wybrana
Bogu ofiarowana
Dziewico-matko niewypowiedziana!

Na plecy Tuty pochyliła się Eranna, biała, jakby umarła, kwiat tuberozy, ciałem kobiecem, zgnilizną pachnący.

— Patrz! patrz! patrz! On ją zaraz... — szepnęła zadyszana.

Parasol uniósł się w górę i Tuła zobaczył, że między rogami byka, jak tam na górze, między rękami tjad, zatrzepotał jakiś krwawy strzep. I w ryku byka posłyszał grom podziemnych grzmotów: „Jako że wszyscy rzuceni będziecie na dno otchłani!“

III.

— Do Egiptu, do Egiptu, — wołała Dio patrząc na okręt odchodzący na morze.

Wypłynął on z drugiej przystani w Knossos, czerwono-brzuchy, o czarnych bokach, mając na dziubie lazurowe oczy, żeby szukały drogi po morzu. Wiatru nie było, więc żagle drzemały bez ruchu, ale zato dwanaście par wiosł razem podnosiły się i razem opadały, błyszcząc wilgotnie jak płetwy morskiego potwora i korab szedł szybko, wciągając za sobą po bieli morza, prawie tak mglisto opalowej, jak niebo, dwie błękitne bruzdy.

Dokąd idzie, nie wiedziała, ale zdawało się jej, że wszystkie okręty idą do Egiptu. I wyciągnąwszy do niego ręce, powtórzyła:

— „Do Egiptu, do Egiptu!”

Przypomniła sobie staro-babiloński psalm.

„Serce drży we mnie i strach śmiertelny padł na mnie. Kto da mi jak gołębiowi skrzydła? Poleciałabym ja daleko i uspokoiła się, oddaliłabym się i byłabym na pustyni!”

Przypomniła też sobie króla Utuksa — Odyssa, wiecznego wędrowcę:

Mocno mnie do Egiptu pragnienie serca pędziło
I płynąc w długowiosłym korabiu z oczu straciłem
Krety szerokiej i równej śnieżyste szczyty; przybyłem
Po dniach pięciu do Egiptu, do srebrno-wargiej ich
[rzeki!..

Mamka kołysała ją pieśniami egipskimi, o cudach Egiptu opowiadał ojciec Aridoel, szły tam często okręty naładowane drzewem kreteńskim i purpurą. Od dzieciństwa obca ziemia wydawała się rodziną, jakby tam niegdyś żyła, w niepamiętnie dalekie dni, i wciąż pragnęła do niej wrócić, tęskniła niby za ojczyzną. Patrząc na jesienny klucz żórawi, lecących na południe, wyciągała do nich ręce, jak teraz do odchodzącego korabiu.

— Do Egiptu, do Egiptu!

Dziś, gdy padł na nią śmiertelny strach, wiedziała że trzeba od niego uciec do Egiptu, i że zbawić ją może tylko największy z synów ludzkich, król Egiptu Akhenaton.

Maleńka, zmarszczona staruszka w olbrzymiej peruce, podobna do grzyba pod kapelusikiem, weszła na dach po zewnętrznych schodach.

— A Zenra, na koniec jesteś! — zawołała Dio. Co się z tobą stało?

— W twoich sprawach biegałam, nóg nie czuję, po całym mieście szukałam Tuty.

Staruszka podała jej list z pieczęcią Egipcjanina, słonecznym dyskiem Atona.

— A gdzie Eoja? — spytała Dio.

— W mieście została.

— Dlaczego?

— Chce raz jeszcze zobaczyć, kupca z Byblos, rozpytać o ojca.

— A cóż, umarł?

— Tak.

— Nie przebaczył?

— Chwała Bogu, przebaczył. Jak się biedactwo ucieszyło, trudno opowiedzieć.

— Dlaczego zostawiłaś ją samą w mieście?

— Nie bój się, nie zginie, przecież nie dziecko.
Jutro raniem wróci.

— A ty kiedy wróciłaś?

— Dzisiaj o wschodzie słońca.

— Gdzie cały dzień byłaś?

— W przystani. Oglądałam okręt, który nas zawiezie do Egiptu. Ach, śliczny! Maszty cedrowe, żagle płóciennę, kajuta złożona; stu wiosłarzy i co za chłopcy! Za dziesięć dni wyjedziemy i jeśli wiatr sprzyjać będzie w pięć dni dobijemy do Egiptu!

Nagle zaklaskała w dłonie, pokręciła głowę, tak że małe warkoczyki, niegdyś czarne, dzisiaj rude, rozsypały się po twarzy, peruka zjechała na bok a z pod niej zabielały włosy siwe i cicho, cichutko, jak brzęczy komar zanuciła piosenkę:

Krokodylu, krokodylu,
Chowaj się czempredzej w Nilu!
Z bogiem słońca w górze stoję

Krokodyla się nie boję.
Paparuka-paparaka
Paparuka-papara!

Temi czarodziejskimi słowami kończyła się piosenka, którą Dio od dzieciństwa znała, przy jej dźwiękach brat Jol bawił się drewnianym, rozdziawiającym paszczę, krokodylem, egipską zabawką, podarowaną przez ojca. A po trzech strasznych zgonach: Aridoela, Jola i Efy, stara Zenra zaczęła pić z rozpacz i często po pijanemu nuciła piosenkę o krokodylu.

— Znów się spiłaś na okręcie? — pytała Dio.

— Jakto spiłam? Cóż to, ja pijaczka, czy co?

Ledwie usta umoczyłam. Marynarze z naszych stron ugościli mnie prawdziwym Amonowem piwem. Pa-

miętasz co to dzisiaj za dzień? Uczciłam nieboszczyków...

Dio pamiętała, że to dzisiaj rocznica śmierci ojca, staruszka, jednocześnie uczciła i tamtych nieboszczyków, Jola i Efy.

— No, dobrze, nianiu, idź, odpocznij, — rzekła bez gniewu, łagodnie.

A gdy Zenra schodziła już na dół, zawołała na nią.

— Nianiu, nianiu, a kiedy igrzyska?

Staruszka nie posłyszała, bo była przygłucha.

Dio podeszła do schodów, pochyliła się i krzyknęła:

— Igrzyska, kiedy igrzyska?

— Igrzyska? nie słyszałam nic o nich, — odparła stara. Da Bóg, że przedtem wyjedziemy. Do Seta djabła z nimi, to nie igrzyska, to zaguba dusz.

Zapadał zmierzch dręczący. Białe mętne niebo wisiało nisko, jak pułap. Nagle przed samym zachodem bryzgnęła po niebie krew, jakgdyby i tam, w niebie, odbywała się ofiara.

Na terasie stała para bućczków Eoży z białej błyszczącej skóry, o podeszwach specjalnie natartych smolnym proszkiem, żeby nie ślizgały się po gładkiej sierści byka. Przed odjazdem do miasta Eoży je wyściła, wybieliła, a teraz suszyły się na słońcu.

Patrząc na nie Dio pomyślała: „Tak, dobrze, byłoby wyjechać wcześniej, przed igrzyskami?” I nagle przez serce jej przeleciało coś ciemnego, szybkiego, jak cień od chmury.

Rozpieczętowała list Tuty, przeczytała i serce jej zabiło radością. „Za dziesięć dni, do Egiptu!”

Zeszła po drewnianych zewnętrznych schodach. Dom z grubo ociosanych kamieni, gliny i bierwion,

wysoki i wązki składający się z trzech piąter, orzadkich oknach, przypominał obronną wieżę. Na Krecie budowano domy bez ognisk: zastępowały je, źle zresztą, piecyki z węglami. Kupiec Aridoel, który w sprawach handlowych często bywał w Mikenach, Tyrensie, Argos i innych miastach północnych, gdzie budowano dobrze ogrzane domy, polubił ciepło ogniska i takiż dom zbudował sobie na Krecie.

Dio weszła do wielkiej, niskiej, oddzielnym dachem pokrytej, komnaty, komnaty ogniska, opartej na czterech drewnianych słupach o okrągłym na zakończonym pułapie, otworze, dla ujścia dymu. Wązkie, jak szczeliny okna, w dębowych rzeźbionych ramach, obciążone były błoną z wołowego pęcherza, przejrzystą i malowaną gorącymi barwami tak, że przechodzące przez nie światło dzienne rozkładało się jak tęcza.

Jedna ściana ozdobiona była malowidłem: nagi młodzieniec, podobny do dziewczyny, o ciele srebrzysto-błękitnem, księżycowem, pochylał się w szybkim biegu i rwał biały kwiat szafranu, wijący się jak języki płomieni.

W rogu na półkach była biblioteka i zwitki palmowych liści z kreteńskimi napisami, gliniane tabliczki z babilońskim klinowem pismem pokryte, i egipskie papirusy z hieroglifami.

Jedne drzwi prowadziły do ogrodu, drugie do łaźni z wodociągami, a inne jeszcze — do komnat Dio i Eoji.

W zagłębieniu zewnętrznej ściany znajdowała się malutka kapliczka z wiszącym brązowym świecznikiem — ognistym wieńcem wieczystych lampek, — i malowaną, glinianą płaskorzeźbą przed-

stawiającą widzenie Matki; na ostrym szczycie góry, podobnej do sosnowej szyszki, stała mała dziewczynka w spodniczce-dzwonie w falbany, z odkrytymi piersiami, z berłem w wyciągniętej dłoni — Wielka Matka; u stóp jej, po obu stronach góry, dwie olbrzymie, dęba stojące lwice, a przed nią człowiek, zakrywający sobie twarz rękami, niby od słońca.

Dio też zakryła twarz rękami, padła na kolana i szeptała modlitwę, wierzyła gorąco, iż modlitwa jej będzie wysłuchaną, jak bywało w dzieciństwie, gdy prosiła o piękną pogodę lub nową zabawkę. Nie pytała już, czy człowiek dręczony jest przez Boga, czy Bóg dręczony w człowieku, wszystko to stało się nagle zbyt proste i niestrasne, jak pożalowania godny uśmiech Tammu-djabła.

Dio tylko powtarzała:

— Matko, pomóż!

A potem już bez słów — tylko dźwięk i wołanie dziecka:

— Ma—ma—ma!

Spełniła się modlitwa. Czyjeś silne ręce podniosły ją, jak dziecko, podejmują ręce matki. Poraz pierwszy od powrotu z Góry zapłakała.

W tejże kapliczce stała też miedziana rzeźba — mumja Ozyrysa, z twarzą króla Akhenatona. Dio wzięła ją do ręki, pocałowała i popatrzyła w twarz, z tem samem co zawsze uczuciem: poznawała w nim brata. „Kto to, kto to? Wkrótce już wiedzieć będę“, — pomyślała radośnie.

Wyszła do ogrodu. Wązką, zapuszczoną ścieżyną między dwoma czarnymi murami cyprysowych drzew, doszła do końca ogrodu, do małego kolistego jeziora, z kolistą też wysepką po środku. Tam, w czarnym cieniu cyprysów, białął alabastrowy sar-

kofag. Płakała nad nim płacząca wierzba, z omsza-
łego kamienia kapąły — łzy źródła; pachniał narcyz,
kwiat śmierci. W grobie spoczywali wszyscy troje —
Aridoel, Efra, Jol.

Przez mostek weszła na wyspę, rozżarzyła na
miedzianym trójnogu węgle i posypała na nie ka-
dzidło.

W nieruchomem powietrzu dym równo poszedł
w górę i wybuchł ogień rozświecając na grobie dwa
malowidła.

Na jednym — boski ośmionóg w głębi wód,
otwierał swe łono — rodzącej Matki i w pramule
ruszała się, mnożyła plazma rozrodcza. Muł za-
mieniał się w wodorosty, wodorosty w zwierzęta
wodne, zwierzęta wodne w ziemne, ryba — w ptaka,
poczwarka — w motyla, jeż morski w jeża polnego,
jeszcze bez łapek, koń morski w zwykłego konia,
włóczącego w mule tylne, nierozwinięte nogi. Tak
pierścień za pierścieniem, stworzenie za stworze-
niem, łańcuch życia rozwija się do nieskończoności.

A na drugim malowidle, ostatni pierścień —
Człowiek: umarły zmartwychstaje, wychodząc z łona
ziemi — jak dziecko z łona matki.

Łączyły się w ten sposób obie tajemnice w jedną
— początek świata z końcem, powstanie ze zmartwych-
staniem.

„Adun zmartwychpowstał — radujcie się“, —
szeptała Dio modlitwę z cichym zachwytem.

„Tammu, bracie mój, co jest większym cudem:
tworzyć czy wskrzeszać?“ — uśmiechnęła się niby
w odpowiedzi na uśmiech Tammu-djabła.

Wróciła do domu. Położyła się i zasnęła słodko,
jak dawno już nie spała.

IV.

Nie zbudził jej żaden dźwięk tylko to, że wie-
działa, iż zaraz dźwięk usłyszy.

Rzeczywiście drzwi skrzypnęły.

Weszła Zenra, trzymając kaganek w jednym
ręku, drugą zasłaniała płomień. Stała przy drzwiach,
zaczęła zbliżać się powoli, lękliwie. Dłoń jej osła-
niająca płomień tak drżała, że cienie skakały po
ścianach i pułapie. Siwe włosy były rozburzone, oczy
pały, wargi ruszały się bez słów.

„Co się z nią stało? Pijana? Zwarjowała?“ —
pomyślała Dio i nagle przypomniała sobie, że ten
sam wyraz widziała na jej twarzy, gdy Efra się
powiesiła.

— Co ci nianiu? — krzyknęła — podnosząc
się z łóża.

— Nic, córeczko, nic rodzona. Nie bój się. Bóg
pomocze. wstań, ubierz się, pójdziemy...

— Dokąd? Czego?

Dio padła na kolana, wyciągając ręce przed
siebie z takim strachem i z takim wstrętem, jakby
śmierć szła ku niej.

Staruszka znów zaczęła się zbliżać, powoli,
milcząc, lękliwie. znów wargi jej poruszyły się bez
słowa.

— Do Eoji, do Eoji pójdziemy! — jęknęła na-
koniec głucho.

Rzecz dziwna, nie było w tem nic niespodzianego. Przed chwilą Dio zbudziła się, sądząc, że dźwięk usłyszy, a teraz, wszystko wiedziała, co będzie; jakby się nic nowego nie dowiadywała, tylko przypomniawszy sobie dawne. Już wszystko to, kiedyś było — jak było — tak jest.

W milczeniu Zenra podeszła do łoża i padła na kolana. Dio chwyciwszy ją obu rękami za plecy, tak się w nie wpiła, że rozerwała paznokciami lnianą koszulę.

— Mówże, mów!

Zenra upadła na podłogę, uderzając się głową o brzeg łoża i zawyla przeciągłym płaczem płaczek:

— Byk, byk, byk!

— Zabił? — spytała Dio, ale już wiedziała, przypomniawszy sobie wszystko.

— Zabił, zabił. zabił, — wyła Zenra,

— Gdzie ona?

— Tu, u bramy...

Dio wyskoczyła z łoża, narzuciła na plecy skórę jelenka, na głowę złocisto-żółtą zasłonę haftowaną w srebrne pszczoły i wybiegła z domu, do ogrodu. Tąże samą ścieżynką, między czarnymi murami olbrzymich cyprysów, obok jeziora z wysepką i bielejącej mogiły...

Potknąwszy się o korzeń drzewa, omal nie upadła. W oczach pociemniało, ziemia zadrżała pod nogami, jak pokład okrętu. Ale wysiłkiem woli pokonała zbliżającą się niepamięć omdlenia.

Posłyszała płacz pogrzebowych fletów.

I znów, wszystko to już niegdyś było; jak było — tak jest.

Pobiegła do bramy, otworzyła małą furtkę i wyszła na wielką drogę wiodącą z przystani do

miasta. Tu zatrzymał się pochód żałobny. Kapłanki Boga Byka niosły na ramionach śmiertelne leże. Płonęły żałobne pochodnie, płynęła pachnąca woń kadzideł. Płakały fletnie — płakał chór.

Wesel się czysta dziewico,

Gotuj weselne leże.

Kapłanka igrzysk, matka Anahita, czcigodna staruszka, z mądrą, dobrą twarzą, podeszła do Dio i przemówiła uroczyście:

— Raduj się Dio, kapłanko Wielkiej Matki! Bóg przyjął ofiarę przez ciebie złożoną, by czystą krwią ziemia się oczyściła i zbawione było królestwo Mórz! Sława Ojcu i Synowi i Matce!

Objąwszy ją, zapłakała i szepnęła czule:

— Ach, córko moja, dziecię ty moje, duszę bym własną oddała. żeby utulić mękę twoją! Jedno pamiętaj! Wielki twój ból, ale wielka i nagroda, kapłanko Matki, Akakalli następczyni. Chcesz ją pożegnać?

Dio w milczeniu spuściła głowę. Na dany przez Anahitę znak, śmiertelne leże postawiono na ziemi, zdjęto zeń fioletową purpurę, złotem szytą w podwójne siekiery Labry, między rogami poświęcenia.

Zmarła leżała w białych szatach, w białym wieńcu szafranowych kwiatów, w tymże stroju, w który niegdyś, ubierała Dio narzeczoną Byka, Pazyfae Wszystkim Świecącą. Żeby zwrócić ciału ludzkie kształty związano ją silnie śmiertelnymi opaskami, tak że wyglądała niby martwa kukielka.

Dio klęcząc podniosła z jej twarzy lekką zasłonę. Na lewej powiece czerniła się czarna plamka, przez czoło przewijało się czerwone zadraśnięcie — krwawy wieniec pod białym wiankiem. Ale twarz

była prawie, nienaruszona, oświetlona nieziemskim światłem, nieziemską czystością czysta, dziecinna, z dziecinnymi piegami koło oczu.

Dio patrzyła na nią z rozdzierającą męką bólu, ale płakać nie mogła, łzy wysychały na jej sercu jak kropla wody na rozpalonym kamieniu. Z cichym jękiem przylgnęła ustami do chłodnych ust. A, gdyby można było tak umrzeć!

Ktoś wziął ją pod ramiona, chciał podnieść, ale sama wstała. Zobaczyła że patrzą i zawstydzila się, po martwej, bardziej martwej, niż u zmarłej, twarzy, przeleciał cień zawstydzonego uśmiechu. Szybko opuściła na twarz zasłonę, gdy pochód ruszył dalej, szła za nim pewnym krokiem.

V.

Słońce już się podniosło, gdy doszli do muru z głazów tak olbrzymich, że tylko nadludzka siła mogła je tu przynieść — do świętego ogrodzenia Matki. Otworzy się niskie drzwi. Na ich szczycie, trójkątnym głazie, całej skale, stały na tylnich łapach lwice, takie same jak w kapliczce Dio, a między nimi kamienny słup, najstarszy symbol Matki, opoka opok, góra łącząca niebo z ziemią.

Pochód minawszy wrota wszedł w górę po stopniach wykutych w skale, na wysokie wzgórze: głęboko wchodzące w morze.

Ranek był jasny. Mgła wczorajsza rozwiała się. Na zachodzie, ponad mglisto-błękitnymi szczytami unosiła się śnieżna Ida, różowo-biała, dziewiczo-czysta, jak niepokalana Dziewica Matka. Na północy mgliste i burzliwe morze, dymiące białym dymem — pianą fal, i palące się ogniem ciemnego fioletu.

A w dole na wielkiej równinie Knossos, w czarnozielonym pierścieniu cyprysów, bieleło, jak tylko co spadły śnieg, lub białe płótno rozciągnięte na polu, miasto-zamek, białe kamienna siedziba Boga-Byka, Labirynt.

Na płaskim szczycie wzgórza ustawiony był z grubociosanych kamieni szeroki i niski ołtarz dla ludzkich ofiar. Na nim rozłożono stos. Na stosie położono ciało Eoju.

Dio wzdrygnęła się, cofnęła, gdy matka Anahita
podała jej pochodnię. Ale potem wzięła ją i pierwsza
podpałała stos.

Flety zapłakały — chór zaśpiewał:

Wesel się czysta dziewico
Gotuj weselne leże!
Żar niebieskiego gniewu
Niech od miłości cię strzeże.
Na łożo oblubienicy
Miłośnie spływa bóg.

Tobie śpiewamy,
Ciebie chwalimy,
Od Boga wybrana
Bogu ofiarowana,
Dziewico-Matko niewypowiedziana.

Stos zapłonął i nagle w buszującym ogniu martwa
kukielka podniosła się, jak żywa. Dio zasłoniła oczy,
żeby nie widzieć, a gdy je znowu odsłoniła już
wszystko znikło w płomieniu.

„Bóg przyjął ofiarę przez ciebie złożoną“ przy-
pomniała sobie słowo Anahity i pomyślała: „Tak,
krew jej spada na mnie, to ja ją zabiłam“. I jak tam,
na Górze, zawirowało w oczach i z krwawej mgły
wyłonił się, jak słońce olśniewająco biały-Krzyż.

KRZYŻ.

I.

Wróciwszy do domu Dio położyła się na łożu w komnacie ogniska, obróciła twarzą do ściany, zakryła z głową i tak przeleżała dzień cały. Zenra wchodziła czasem na palcach do komnaty, słuchając czy nie płacze. Nie, leżała cicho jak umarła.

Późno wieczorem znów weszła i zobaczyła, że leży na plecach; oczy otwarte, niepatrzące, jak u ślepych, usta zaciśnięte, twarz skamieniała, oddech nierówny.

„Jak ryba wyrzucona na piasek“ pomyślała Zenra. Zaczęła mówić, ale nie otrzymawszy odpowiedzi — zapłakała.

Dio z trudem, powoli, patrzyła na nią ślepych wzrokiem, wkońcu z wielkim wysiłkiem woli otworzyła usta i rzekła:

— Idź!

— Ach, świecie mój, serce moje, nie wyrzucaj mnie! Gdzież ja pójdę? Razem płaczmy, będzie lżej.

Dio spojrzała na jej twarz, jak na puste miejsce i powtórzyła:

— Idź!

Zgarbiwszy się, niczem wygnany pies, staruszka milcząc wyszła z komnaty. W nocy Dio wstała i błędzić poczęła po domu. Zaglądnęła do kapliczki zobaczyła obraz Matki, przypomniała sobie jak wczoraj modliła się do niej: „Matko, pomóż!“ i pomyślała: „Ładnie pomogła!“

Nagle ocknęła się przy ścianie, tłukła o nią głową długo, nierozumiejąc co czyni, nakoniec pojęła; wszystko w świecie głucho — jak ta ściana — bić głową — a nikt nie odpowie.

Zasła do sypialni Eoji. Otworzyła skrzynię z szatami, wyjęła jedną, drugą; szła od nich woń żywej dziewczyny, jakby opuściwszy ciało, dusza przeszła w odzież.

Na samym dnie skrzyni zobaczyła białe buciczki, te które wczoraj stały na dachu, widocznie Zenra tu je schowała. Płacz ją dławił, ale płakać nie mogła; lży wysychały na sercu, jak krople wody na rozpalonym kamieniu.

Wróciwszy na poprzednie miejsce, położyła się, znów oddychała często jak ryba wyrzucona na piasek. Chwilami ogarniało ją zapomnienie, ale zasnąć nie mogła, ledwie zaczynała zasypiać, a już budziła się, niby od nagłego wstrząśnienia.

Gdy zamykała powieki widziała dziecinne piegi około martwych oczu, widziała jak martwa kukielka poruszyła się, niby żywa, w buszujących płomieniach, jak białe kłęby dymu różowiały w blaskach wschodzącego słońca, białe widma nabierały ciepłej krwi i wśród nich kręci się, tańczy, lekka w lekkim dymie, tancerka; „Tak zatańczę jak nigdy jeszcze!“ A Zenra wciąż wchodziła do pokoju, szła do niej, jak śmierć, ruszała wargami, szeptała: „Do Eoji, do Eoji pójdziemy!“

Noc była bez końca, a jednak gdy poszarzał kragły otwór w pułapie nad ogniskiem, zdziwiła się: niedawno był wieczór a teraz już świta. Żal jej było nocy, w ciemnościach zawsze lżej, jakgdyby światło dzienne drażniło nie tylko oczy, ale i całe ciało.

Zenra zaczęła coś pietrasić przy ognisku. Dio w milczeniu, dała znak ręką żeby przestała. Staruszka wyszła na podwórze i dalej gotowała na piecyku z węglami. Przyniosła kaszę z tykwy, zapiekaną w garnku i pszeniczne placuszki, dwie ulubione potrawy jej pani. Dio od wczorajszego wieczoru nic nie jadła i nie piła, prócz wody, mdliło ją na samą myśl o jedzeniu. Dała znak, żeby Zenra zabrała potrawy.

Staruszka już nawet nie płakała, tylko tak boleśnie popatrzyła, że Dio żal jej się zrobiło i rzekła: — Daj mleka.

Zenra przyniosła dzban z mlekiem i nalała w kubek. Dio wypila trochę a zobaczywszy, że staruszka nieśmiało trzyma chleb w ręku, sama go wzięta, ułamała kawałeczek, położyła do ust, pożała i nie mogąc połknąć, wypluła.

Znów położyła się, obrócona twarzą do ściany, z zakrytą głową.

Dzień ciągnął się bez końca, jak i noc, i jak noc, w mgnieniu oka zagaś: niedawno blask słońca padał, jak łuk tęczy przez kolorowe okna, a już zapaliły się lampy w kapliczce. Znów w nocy błąkała się po domu, nie mogąc znaleźć miejsca i bijąc głową o mur.

Tak przeszło trzy dni. Wciąż nic nie jadła. Czuła się osłabiona, w głowie jej się kręciło, jakieś łagodne fale, łagodnie ją kołysały. Czy zakołyszą aż na śmierć? Nie, wiedziała iż nie umrze, póki czegoś nie uczyni. „Co trzeba uczynić? co trzeba uczynić?“ powtarzała z niepokojem, jakby zapomniała i przypomnieć sobie nie mogła.

Przyszła matka Anahita. Mówiła coś dobrego i mądrego, ale Dio jej nie rozumiała, słowa nie

wchodziły do serca, jak chleb do gardła. Tyle pojęła, że Matka Akakalla bardzo chora, być może umrze wkrótce, i ona, Dio będzie, wielką kapłanką... „Nie wielka kapłanka, lecz zmokła kura!” przypomniała sobie i cień martwego uśmiechu przemknął po martwej twarzy.

Przyszła i Tuta. Mówił o blizkim odjeździe do Egiptu, pytał czy będzie mogła pojechać.

— Nie wiem, może będę mogła, — odpowiedziała tak obojętnie, że aż się sama zdziwiła, przypomniała sobie jak to niedawno, wyciągała ręce do okrętu odchodzącego na morze; teraz już nie ma pogo jechać do Egiptu.

Gdy Tuta wymówił imię Akhenatona, coś w jej twarzy zadrgało, zaraz znów zastygło — zamarło.

Tuta odszedł zasmucony, przewidywał, że tancerka Dio, perła Królestwa Mór, cudowny dar dla króla Egiptu — stracona.

O zwierzych przyszedł Tammu i zapukał do drzwi od podwórza. Otworzyła Zenra, ale nie wpuściła, najpierw poszła zapytać czy wolno.

— Nie wolno, nie wolno, nie puszczaj! — zawołała Dio, jakby przeleknięta. Ale gdy Zenra wychodziła z pokoju, zawróciła ją:

— Poczekaj nianiu...

I pomyślawszy powiedziała:

— Niech wejdzie.

Bała się zobaczyć go potem co zaszło na Górze, ale poprzez strach, czuła niejasno, że potrzebny on jej jest teraz, jak nikt; może dowie się od niego co należy uczynić, aby spokojnie umrzeć.

Tammu wszedł i bez powitania, milcząc, zatrzymał się u proga. Dio też milczała. Nie widzieli się od tamtego dnia. Patrzyli jedno na drugie ciekawie.

— Witaj Tammu, — rzekła nakoniec. Czego stoisz? Siadaj.

Podszedł i usiadł, wybierając z dwóch siedzeń, dalsze.

— Mów, czego przyszedłeś?

— Pożegnać się, jutro jadę.

— Jedziesz, doprawdy? Już tyle razy chciałeś jechać.

— Dołąd nie mogłem. Teraz mogę.

— Dlaczego teraz?

— Można wszystko powiedzieć?

— Mów.

— Ty jesteś bardzo chora, Dio, chorym nie mówi się wszystkiego.

— Mów wszystko.

— I o niej też można?

— I o niej też.

Zrozumiała, że „o niej” to znaczy o Eoji.

Mówili oboje na pozór spokojnie i im straszniejsze było to, o czym mówili, tem spokojniej ważyli każde słowo, czując, że każde może ich zbawić, lub zgubić.

— Wiesz kto zabił Eoję? — spytał patrząc jej prosto w oczy.

— Kto?

— Ja. Nie wierzysz?

— Nie.

— Popatrz mi w oczy. Czy tak się kłamie?

Popatrzyła, zakryła twarz rękami, upadła na łóżko; leżała długo, cicho, jak martwa. Poczem odjęła ręce od twarzy, usiadła i spytała.

— Jak ty ją?...

Nie mogła wymówić — „zabiłeś”.

— Nie ja, ktoś inny — odparł.

— Kto?

— Wszystko jedno. Ktoś spytał „zabić?” powiedziałem „zabij!” To znaczy ja zabiłem.

— Kinir? — domyśliła się. — Jak on to uczynił?

— Podkupił wolarza, żeby spoił byka.

— Dlaczego ty ją... — i znów nie skończyła.

— Żeby zdjąć urok — zabójca powiedział, że jeżeli Eoja umrze, zdjęty będzie urok i pokochasz mnie.

— Uwierzyłeś?

— Nie wiem. Może i uwierzyłem.

— A teraz?

— Teraz widzę, że stało się coś innego — ty mnie nie pokochałaś, ale ja przestałem cię kochać. Mniejsza o to, urok zdjęty.

— A czy wiedziałeś, że jeśli ją zabijesz to i mnie?

— Nie myślałem o tem. A gdybym nawet myślał — trzeba było coś wybrać: zabić siebie — albo ciebie. Więc wybrałem.

Wstrzymał się, zastanowił i kończył:

— Wybrałem ciebie. Zrozum mnie Dio, nie przyszedłem prosić o przebaczenie. Wiem, że nie możesz mi przebaczyć. Trzy razy przebaczyłaś; pierwszy raz w grocie, kiedy chciałem cię zbezczęścić, drugi raz na brzegu gdy kąpałaś się z Eoją, a trzeci na górze, gdyś tańczyła z tjadami. Czwarty raz — nie przebaczysz. Tylko dlatego zabiłem — żebyś niemogła przebaczyć.

— Dlaczego przyszedłeś?

— Żebyś wszystko wiedziała i nie kłamała. Jeżeli nie kochasz, nienawidź, ale nie przebaczaj, nie kłam!

Dio nie zaraz odpowiedziała, jak gdyby się znowu głęboko namyślała.

— Nie, Tammu, — wyszeptała nakoniec, — ledwie było słyhać, — nie przestałeś mnie kochać. Gdybyś przestał kochać, nie przyszedłbyś.

— Nie wiem. Możeby i nie przyszedł, — on też się zamyślił. — Ale jutro pojedę i już nigdy nie wrócę. Byłem umarły, ożyłem: ginąłem i wybawion jestem, jak pies siedziałem na łańcuchu i łańcuch zerwany. Wolny, wolny, wolny! I gdyby znów zabić trzeba — zabiję!

— Nie, Tammu, my nigdy o... zaczęła, zatrzymała się i jak on, po rozwadze, skończyła:

— Nigdy nie przestaniemy się kochać!

Tak niemożliwe, tak niedorzeczne, niby „dwa razy dwa pięć“ były te słowa, że uszom swym nie wierzył.

Zmrok zapadał. Już prawie nie widział jej twarzy. Nagle zdawało się, że cicho płacze i szepcze:

— Tammu, chodź tu!

Nie wiedziała co się z nią dzieje, jakgdyby nie ona, ktoś inny za nią, zawołał z głębi jej serca: „Matko, pomóż!” i nagle czyjeś silne ręce wyciągnęły się do niej i podniosły ją, jak podnoszą dziecko ręce matki. Pęta, co ją dławili, — konwulsje płaczu bez łez — nagle się rozluźniła i popłynęły łzy.

— Tammu, chodź tu!

Podszedł.

— Pochyl się, jeszcze, jeszcze! Ot tak...

Podniosła się, wzięła w obie ręce jego głowę i cicho pocałowała w czoło. Gdy go puściła, odszedł, chwiejąc się, przytulił głowę do jednej z kolumn otaczających ognisko i długo stał bez ruchu. Późem

wrócił do niej i spytał ze swym zwykłym, ciężkim, niby kamiennym, uśmiechem.

— Co to znaczy? „Temu co zło ci uczyni — płać dobrem“, — przypomniał sobie słowa boga Tammuza, napisane klinowem pismem na tabliczce pochodzącej z zamierzchłej przeszłości.

— Tak bracie mój, tak! „Temu co zło ci uczyni — płać dobrem“, — powtórzyła z cichym zachwytem. Kto to powiedział?

Nagle przestał się uśmiechać, zbladł, zacisnął z wściekłością pięści i podniósł je nad głowę.

— Ten z powodu którego świat ginie. Kłamca, morderca, djabeł! Niech będzie przeklęty!

— Tammu, bracie mój, czemu przeklinasz tego, kogo kochasz!

— Kocham go?

— Kochasz. Nie wiedziałeś? Poczekaj, wkrótce będziesz o tem wiedzieć. — Padła na łożo, zakryła oczy i szeptała niewyraźnie, jak przez sen:

— Idź już — odpocznę, bardzom zmęczona. Nie jedź jutro, zaczekaj, jeśli żyć będę powiem co masz czynić, a jeśli umrę, sam wiedzieć będziesz. Zaczekasz?

Nic nie odpowiedział, powoli, niezgrabnie, ciężko poruszył się, zgarbiony jak pod wielkim ciężarem i wyszedł z komnaty.

Twarz jego była tak okropna, że Zenra przestraszona pobiegła zobaczyć co się stało. Zaglądnęła do komnaty Dio; weszła na palcach, podeszła do łoża, pochyliła się i zobaczyła, że głęboko śpi.

Śniło się jej, że idzie z Tammu, zapomnianą ścieżynką w śpiącym lesie, na Górze Ida, jak wówczas, gdy ją ocalił od odyńca. Sosny szumią niby morze, padają płaty mokrego śniegu, w zachodzą-

cym zmroku różowieje kwiat migdałowy. „Ofiarować zwierzę, ofiarować zwierzę, oto co uczynić należy“, mówi Tammu.

Padają płaty śniegu, zawieja straszliwa, kręci się i wiruje wiatr, jak kręgi Labiryntu, ryczy głodnym rykiem bóg-zwierzę „Ofiarować zwierzę, ofiarować zwierzę — oto co uczynić należy“ mówi już nie Tammu a ktoś inny: „Kto to? Kto to? ty?“ I nagle poznała króla Egiptu, Akhenatona.

Zbudziła się, ale sen ciągnął się dalej na jawie. Posłyszała ryk głodnego zwierzęcia — huk podziemnych gromów. Mury domu zdrząły jak od przejeżdżającego wozu pełnego kamieni; zadzwonił wiszący na ścianie rzeźbiony puklerz; w kapliczce dwa dzbany, naczynia do libacji, uderzyły o siebie i zadzwieczały; zaskrzypiały kolumny przy ognisku; z pułapu kawał tynku spadł na podłogę; owce w owczarni zabeczały; pies na podwórzu zawył. Z czerności nocy wionął ku niej czarny strach. Nie bała się, od dzieciństwa przyzwyczajona była do tych podziemnych grzmotów, tylko podniosła się na łożu, obróciła w stronę kapliczki i szepnęła:

— Wszyscy my dziećmi twemi, Matko! Rozgrzesz je, zbaw i ochroń. Czekala jaki będzie koniec. Pamiętała, jak pamiętali wszyscy Kreteńcy, co było przed czterema wiekami: ziemia wówczas tak drżała, że ludzie myśleli o końcu świata.

„Koniec, czy nie koniec?“ — czekała spokojnie.

Znów przejechał wóz z kamieniami, przewaliły się grzmoty, ale głuchsze, dalsze i wszystko zamarło. Nastala cisza. Kogut gdzieś zapiął: „Jeszcze nie koniec!“

Dio znów się położyła i zasnęła tak głęboko, jak przedtem. Już słońce padało na ścianę łukiem

tęczy gdy się zbudziła jeszcze chora, osłabiona, ale inna i coś się w jej twarzy zmieniło tak, że Zenra spojrzawszy na nią pomyślała: „Będzie żyć!“

Wypiła dwa kubki mleka, zjadła dwie kromki chleba z wilczym apetytem. Ale z doświadczenia kapłanki wiedziała, że po długim poście nie należy jeść dużo, trzeba powoli przyzwyczajać się do jedła. Przyzwyczajała się powoli, zwiększając porcje od śniadania do obiadu, od obiadu do kolacji. Niania przygotowywała jedną za drugą potrawę, kaszki, zupki, placuszki, ciasteczka, śpieszyła się, biegła, z radości nóg nie czuła, tylko rudo-czarne warkoczyki skakały i śpiewała piosenkę o krokodylu.

„Paparuka! paparaka!“

Dio wracała do zdrowia z cudowną szybkością, jakby zmartwychwstała. Ale miłość staruszki była przenikliwą, patrząc na nią przeczuwała coś złego. Po twarzy Dio przebiegał chwilami czarny cień; jakaś niesamowita myśl świeciła w jej oczach.

„O czym ona myśli“, zrozumieć chciała Zenra i nie mogła, tylko niepokoiła się proroczym strachem.

„Ofiarować zwierzę, ofiarować zwierzę! O to co należy uczynić“ przypomniawszy sobie Dio sen i słowa Eoji: „Jeśli Bóg taki, jak myślą ludzie, to nie Bóg, lecz djabeł“. Djabeł z Bogiem tak ludzie splątali, że nie rozplątać węzła, chyba przeciąć. „Ojciec jest miłością, nie Synowi ludzi, ale ludziom Syna dał Ojciec w ofierze“ — oto co powiedzieć należy. Oczyszczyć ziemię od krwi ludzkich ofiar, utrować drogę Temu, który idzie — oto co uczynić należy.

Akhenaton prorok powiedział a Dio kapłanka — wykona.

II.

Arena w Knossos zasnęła pod czarem księżycy — Pazyfae, Wszystkim Świecącej.

W celi z desek, ciasnej, ciemnej jak grób, tej samej, w której Dio ubierała w strój ślubny Eoję, narzeczoną króla-Byka, pachniało zwierzęcym potem i ciepłem nawozu.

Blask księżycy padał przez wąską szczelinę okna na czarne deski, ściany, jak płat białego płótna i w białym jego świetle czerwieniał ogień kaganka.

Dio siedziała na ziemi w stroju tancerki: w krótkim fartuchu skórzanym, w miedziano-skórzanym okrągłym pasku, mocno przecinającym ją w pasie, w wysokich z białej skóry bucikach, górna część ciała odkryta. Ostrzyła ofiarny nóż z brązu, długi i cienki jak liść wierzby; noże te nazywano „liśćmi wierzby“. Rękojeść z czarnego agatu była w kształcie krzyża.

Z cichym pogwizdem, świstem żmiji, ostrze noża szło tam i z powrotem po osełce. Popróbowała nóż na skórze fartucha i jakkolwiek był ostrzejszy od brzytwy, wciąż wydawał się jej tępy. Toczyła dalej.

Z za drewnianej przegródki rozległ się cichy ryk. Wstała, otworzyła okienko, wysunęła głowę, wystawiła rękę z kagankiem, oświeciła oborę, zaglądnęła w jej głąb. Jeszcze silniej czuć było zapach zwierzęcego połu, ciepło nawozu, jakoby oddech samego boga-zwierzęcia — Minotaura.

Byk spał na słomie i głucho ryczał przez sen. Śnił może o miodowo woniejących łąkach, przy szumie lodowatych, bystrych potoków, na górze Idy, gdzie niegdyś pasał on, jak i bracia jego, o szerokich czołach, olbrzymich rogach, cudownie piękne, pierwotne dzieci stworzenia, boscy synowie — Matki Ziemi.

Dio poraz pierwszy od zabicia Eoji zobaczyła Pianeczkę. Nie miała do niej żalu, rozumiała, że zwierzę jest niewinne, a jednak pomyślała: „Na tych to rogach, ciało jej trzepotało się w poszarpanych strzępach!” Ręka zadrżała, pochylił się kaganek i na plecy byka spadła kropla gorącej oliwy. Zbudził się, skoczył i obrócił ku niej głowę. Często, bywało, karmiła go kawałkiem chleba jęczmiennego obficie przysypanym solą, lub miodowym placuszkiem. Widocznie przypomniał teraz to sobie, podszedł do okienka, wyciągnął mordę, kichnął, parsknął jej w twarz swym ciepłym oddechem i popatrzył wprost w oczy.

„Wszystko wie, tylko nie może powiedzieć!” przypomniała sobie słowo Eoji. Ach, to bosko czyste wejrzenie zwierzęcia, jeszcze takie, jak w pierwszy dzień stworzenia! Nie mogła go znieść, zamknęła więc okienko i szybko, jakgdyby ktoś zawołał, obróciła się tam, gdzie w dymach kadzidła i szafranu wznosił się mały gliniany ołtarz ofiarny z rogami poświęcenia, za nim, na pobielonej ścianie, widniało malowidło, umyślnie niedołęzne na wzór nieskończenie starych; być może, że tak rysowali dzicy, jaskiniowi ludzie, ostrzem krzemienia drapiąc na kościach nosorożców i mamutów.

Była to Matka Ziemia, zwierząt Władczyni. Twarzyczka dziecinna, w kształcie serca, czy liścia

winogrodu, ręce niepomiernie długie, szeroko wyciągnięte na znak wszędzie obecnej dobroci, a w koło niej ostre krzyżyki. Znakiem krzyża błogosławiła wszelkie ludzkie stworzenia: ziemskie, wodne i powietrzne. Ptaki siedzą na jej rękach, zwierzęta tulą się do nóg, w potoku fałdów jej szaty pływają ryby, a pod rękę, która błogosławi, łeb swój podsunął byk. „Pianeczka“, „Pianeczka“, myślała Dio, nie okrutny bóg Minotaur — ale słodki Cielec Ofiarny, poświęcony od stworzenia świata — Syn. „Co czynię? Na kogo to ostrzę nóż?“ — przestraszyła się nagle. Ale zbyt późno, siła silniejsza od strachu ciągnęła ją, niepokonana. Jakby nie sama wyrokowała, ale ktoś za nią mówił, co czynić należy. Rozważne, lekkie i zdecydowane były wszystkie jej ruchy, rytmiczne, jak w tańcu. „Tak zatańczę jak nigdy jeszcze!”

Drugi kur zapiał. Już niecała godzina pozostała do zmiany warty nocnej. Przez ten czas należało wszystko ukończyć.

Pochyliła się szybko, chwyciła za nóż leżący na kamieniu i wsunęła go do pochwy, u pasa. Wzięła dwie poprzednio przygotowane pochodnie i jedną z nich zapaliła przy ogniu kaganka. Wyszła z celi do ciemnego, wąskiego przejścia, między oborami, z niego w drugie, potem w trzecie, Przejścia krzyżowały się, płatały jak w labiryncie. Nigdzie nikogo, tylko w ostatnim przejściu na podłodze, u drzwi spał pijany, jak nieżywy, staruszek-strażnik. Większość strażników i wolarzy spiła się przy wieczerzy, gdyż Dio posłała im gąsior wina zmieszanego z nasennym ziołem.

Przeskoczyła przez śpiącego i znalazła się w przedsionku areny, szerokim, niskim, wspartym na cyprysowych słupach. Tam, pod szarem płótnem

stała jak widmo, drewniana jałówka, z pustem wnętrzem, w którym Eoja, narzeczona króla Byka, niegdyś noc spędziła.

Dio odsunęła rygle u drzwi, postawiła płonącą pochodnię na wbity w ścianę hak miedzianego świecznika, a z drugą niezapaloną zbliżyła się do drabinki wiodącej na strych i do składów, gdzie chowano pożywienie i słomę dla stada byków. Weszła na nią. Pochodnia okręcona była długim, jednym końcem do niej przytwierdzonym sznurem. Rozmotawszy go, opuściła w dół wolny koniec i wsunęła pochodnię w słóg słomy, zeszła, dobrze ukryła drabinę pod jałówką i zdjawszy palącą się pochodnię, przełożyła ją do wiszącego końca sznura.

Sznur tlił powoli jak hubka, gdyż był zaledwie przeciągnięty jakąś mieszaniną smoły, siarki i innych materiałów palnych. Tego rodzaju machin wywołujących ogień, — też chytróść dedali — używano przy oblężeniach twierdz i w morskich bitwach, wedle długości sznura można było z całą dokładnością obliczyć chwilę wybuchu pożaru.

Zapłonęła pochodnia w słomie, zaczęła się pożar na strychach i składach, ogarnię drewniane części budynku, belki, powały, słupy, schody, całą arenę w Knossos, legowisko zwierza, zniszczyć ogień.

Z sieni wyszła na krąg areny. Nagle jej plecy zadrżały w jesiennej już świeżości nocy. Na czystym, bezgwiezdnym niebie — księżyc w pełni płonął prawie oślepiająco. Biały piasek skrzył się niebieskimi iskrami jak śnieg. Białe stopnie ław były puste, tylko zdawało się gdzieś w przejściach czerniały cienie, widma spragnionych wrażeń widzów. Królewski namiot rozwierał się jak wielka, czarna paszcza, a wysoko nad nim błyszczała srebrna mordą Byka.

Dio podeszła do wrót obory Pianeczki. Krata prowadząca do nich tak była urządzona, że łatwo mógł ją otworzyć jeden człowiek, kręcąc koło na które namotywał się miedziany łańcuch. Dio podniosła kratę.

Byk wyskoczył z obory, wybiegł na środek kręgu, zatrzymał się z cichym pomrukiem, jakby westchnieniem miłości i podniósł pysk ku księżycowi, Pazyfae Wszystkim Świecącej. Miał małą, delikatnie zarysowaną główkę, olbrzymie rogi wygięte w kształt liry, obwisłe faldy skóry na niezmiernie tłustej szyji, nóżki, delikatne niby toczne, przejrzysto żółte karbunkuly oczu; miał białą, jak piana fal, z księżycowo-srebrnym odbłyśkiem, sierść. Był piękny, jak ten boski Byk, co wyszedł z błękitnego morza, z białą pianą szumiących fal, kochanek Pazyfae.

Obrócił się do Dio i szedł ku niej wolno, spuściwszy rogi, jakby chciał ją wziąć na nie, lecz podszedłszy, zatrzymał się i gdy ona chwyciła się obu rękoma za rogi, podniósł głowę ruchem na pozór wściekłym a gruncie rzeczy łagodnym, niby bawiąc się, podjął ją, przerzucił sobie na plecy i pobiegł z nią, tańcząc, dumny z pięknej amazonki; tak niegdyś leciał po błękitnym morzu biały, jak biała piana szumiących fal, Bóg-Byk z boginą Europą.

Dio wyjęła nóż, chciała uderzyć i nie mogła. Zobaczyła krzyż rękojeści i przypomniała sobie krzyż Matki — błogosławiącej wszelkiemu stworzeniu. Znów jakby nie ona, ktoś za nią — zdecydował, co należy czynić. Nie podniosła ręki na łagodne zwierzę, być może podniesie ją na szalone. Dawno już rzuciła pochodnię, a ona płonęła dalej, jak krwawa rana na księżycowo-białem cieple nocy. Zeskoczyła z byka, podbiegła do pochodni, chwyciła ją i gdy byk znów

podszedł, wbiła gorący snop między rogi, tak silnie, że się o nie zaczepił. Byk skoczył w tył, zaryczał, niesamowicie rzucał głową, chcąc pozbyć się ognistego wieńca.

Odrzucał ogień; iskry padały, jak deszcz, kapąły krople gorącej smoły, woniała paląca się sierść. Nakoniec uwolnił się od pochodni, stanął dęba i ryknął wściekle, już teraz nie igrał.

Dio odskoczyła. Obok niej wbiły się rogi w ziemię. Z wielką siłą, wbiły głęboko, tak, że zwierzę upadło na przednie nogi, ogłuszone uderzeniem, na razie nie mogąc podnieść głowy.

W tejże chwili Dio podskoczyła do niego z boku, uklękła na niego i wetknęła nóż między grzbietem a lewą łopatką; mierzyła w serce.

Jeśli matka w napadzie szału zabijająca dziecko, gdy już wbija nóż, nagle oprzytomnieć mogła, nie doznałaby tego uczucia rozpacz, co Dio w tym momencie. Z głuchym rykiem, podobnym do ludzkiego jęku byk podniósł głowę, odrzucił tancerkę tak, że upadła na wznak; skoczył, rozpędził się, zachwiał i runął. Wetknąwszy pysk w piasek, zadrgał, zatrzepotał, jak postrzelony ptak, raz jeszcze podniósł się na przednie nogi. Dio znowu podbiegła do niego, wyjęła nóż, uklękła na jedno kolano i zaszyła ostrze w gardło jego tak głęboko, że w miękkich fałdach skóry weszło całe, wraz z ręką. Krew bryzgnęła jej w twarz. Odwróciła się i zasłoniła oczy, żeby nie widzieć. Gdy ocknęła się — zobaczyła, że zwierzę leży u jej nóg, nieżywe, a kłęby szarego dymu, przerwane czerwonym płomieniem, buchają z przedsińców areny. Zapłonęły kotary królewskiego namiotu, ogromny słup wzbil się w górę i rozeszło się po

niebie purpurowe zarzewie, aż twarz księżycy pobladła.

Rozległ się ryk świętej trąby, konchy trytona, znak trwogi i po całym zamku — Labiryncie przewały się, jak ryki wołu, wielokrotne echa.

Miedzy białymi stopniami ławek, biegły czarne cienie, niby mrówki. Ludzie miotali się w strachu, bili w piersi i głowy, rwali włosy, łkali, płakali.

— Aï Adun! Aï Adun!

Zdaleka wskazywali na morderczynię boga, nie śmieli do niej podejść, inni schodzili na krąg areny, szli dwa, trzy kroki naprzód, ale nagle zatrzymali się, obracali i biegli z powrotem z okrzykiem:

— Laran-Lara, Laran-Lara!

Było to straszne imię dwupłciowego demona. Dio zrozumiała, że jest dla tych ludzi diabłem, gdyż człowiek nie byłby w stanie uczynić czegoś podobnego.

W końcu matka Anahita, kapłanka igrzysk, podeszła do niej otoczona gronem kapłanek. Miedzianą siekierę — Labrę, podniosła wysoko, ponad jej głowę i tak zaklinała;

— „Labra Święta przeciw sile nieczystej! Skądbyś nie przyszedł — nie przyszła, z ognia, wody, ziemi, — powietrza, zgiń, przepadnij, wyklęty, — wyklęta.

Mówiła słowa zaklęcia nie dla siebie, dla innych, sama dobrze wiedziała, że przed nią człowiek, nie bies. Ale inni widząc, że Dio, od zaklęcia Labry nie zginęła ośmielili się, podeszli, otoczyli grożąc kłami, nożami, kijami.

— Na stos, na stos, przeklęta!

Na znak dany przez kapłankę uspokoili się, odeszli.

Matka Anahita zbliżywszy się do Dio — powiedziała:

— Coś uczyniła, coś uczyniła, szalona!

Ale popatrzywszy w jej bladą, obryzganą krwią twarz, nagle zrozumiała i umilkła. Milcząc wzięła jej ręce i mocno w swej dłoni ścisnęła, a poczuwszy lepkość krwi, nie wypuściła, tylko mocniej ścisnęła. Jej mądre i dobre oblicze zmarszczyło się i szepnęła na ucho ze łkaniem:

— Och, biedna, biedna, cóżeś ze sobą uczyniła? Chciałaś zemścić się za Eoję?

— Za nią i za wszystkich, — odparła Dio spokojnie: im większy był strach innych, tem ona była spokojniejsza.

— Krew ludzkich ofiar ohydą jest przed Panem... — zaczęła i niedokończyła. Chciała powiedzieć: „Ojciec jest miłością“ ale poczuła, że pusto i głucho zabrzmiałyby te słowa. Dlatego umierała żeby móc je powiedzieć, teraz oniemiała; i wie że umrze w milczeniu. Matka Anahita jakby odgadła jej myśl — pokiwiała głową beznadziejnie:

— Czy pojmą? Umrzesz i nic nie uczynisz!

— Niech umrę za Niego!

— O kim mówisz?

— O Tym, Który przyjdzie.

— Kto miał przyjść, już przyszedł.

— Nie, On dopiero przyjdzie.

— To On ci to rozkazał?

— On.

Kapłanka popatrzyła na Dio długo, uważnie i wypuściła jej rękę. Nic nie powiedziała, ale ona zrozumiała bez słów: „Uważaj, żebyś się nie omyliła — jeśli On już przyszedł sprawiedliwa będzie Twoja kara — stos!“

— Na stos, na stos! zgładzić ją z powierzchni ziemi, niegodna żyć! — wołał groźny tłum, znowu się zbliżając.

Ktoś bardzo gorliwy pobiegł do straży, przyniósł miedziane kajdanki z łańcuszkiem i podał je matce Anahicie. Dio sama wyciągnęła ręce i staruszka włożyła na nie kajdanki. Łańcuch zadzwonił.

Dio wzniosła rękę ku niebu i w nagłej ciszy, zawołała wielkim głosem, pełnym takiej radości, jakby już widziała tego kogo wołała:

— Przyjdź! przyjdź! przyjdź!

III.

Dio czekała na wyrok. Nikt nie mógł go wydać, prócz wielkiej kapłanki Akakalli, a ona leżała chora, bliska śmierci, w świętem ogrodzeniu Pszczół, na Górze.

Pszczoly bały się jej powiedzieć straszną wiadomość, lecz nie można było długo ukrywać. Sądzone, że nie przeżyje występku Dio, swej ukochanej córki — upatrzanej następczyni. Przeżyła, ale straciła mowę i połowę ciała jej odjęło.

Długo leżała pół martwa, наконец pokazała, że chce pisać. Podali tabliczkę, słabą ręką coś nagryzmoliła.

Goniec odniósł list Dio. Były w nim tylko dwa słowa: „Przebac — przebaczy!”

Dio zrozumiała: „Przebac Wielkiej Matce krew Jola, Efry, Aridoela, krew wszystkich ludzkich ofiar i Matka ci przebaczy, zlituje się.”

Na tej samej tabliczce napisała odpowiedź: „Nie przebaczam!”

Goniec odniósł list z powrotem. Matka Akakalla przeczytała odpowiedź i napisała pod nią: „Spalić!”

To było rano a wieczorem zaczęło się konanie. Jedna z Pszczół z wyrazu twarzy i ruchu rąk odgadła, że umierająca chce jeszcze coś napisać, podsunęła jej tabliczkę i włożyła w palce trzcinkę. Ale palce były bezsilne i trzcinka wypadła. Rankiem

zmarła wielka kapłanka. Tajemnicę ostatniej swej woli być może przebaczenie, zaniósła ze sobą do mogiły.

Miano spalić Dio na temże samem wzgórzu, gdzie przed dwoma dniami spalono ciało Eoji.

Celka, wykuta w ścianie, kapliczka Aduna, służyła za mieszkanie dla ofiar. Grube mury, niskie sklepienia, krata w oknie, ciężkie zasuw u drzwi, wszystko przypominało więzienie. Ale było tu też wspaniałe łoże z purpury, krzesło ze słoniowej kości i czarnego drzewa. Zapach kadzideł mieszał się ze świeżością lilji w cudnie malowanych naczyniach. Potrawy i wina królewskie, pyszne szaty i drogocenne kamienie.

Wszystko składano ofierze, — jak ofiarę składano Bogu. Niby na drwiny patrzyła Dio na nocne pantofelki z pawich piór, onyksowy sepecik z pudrem babilońskich królowych i kurtyzan, inkrustowany różową masą perłową; pudełeczko z akacjowymi węglami i ambra, egipskim proszkiem do zębów; już tysiąc lat temu król Chafu-Cheopo, budowniczy wielkiej piramidy, czyścił nim sobie zęby.

Ludzie nie wiedzieli czem jej dogodzić. Patrzyli na nią z szacunkiem i strachem, padali na twarz i kłaniali się jak Bogu, gdyż Bóg jest w każdej ofierze.

Bolesne jej były te dowody czci, jakby ją za życia chowali, zabijali duszę przed ciałem. Lżej gdyby obrażali, pluli, bili w twarz.

Kobiety kreteńskie nie chciały być katami ludzkich ofiar. Rolę tę spełniała trakijka, z północnego plemienia Bessów, czcicielka dzikiego Boga Zagreusa, Ludzi Rozdzierającego.

Już same jej imię — Gla — przypominało kłopotliwego ptaka. Nazywaną ją też Morderczynią — ta która morduje — i „Wyrwane nozdrza“, gdyż nie wiadomo za jakie straszliwe przestępstwo jeszcze tam, w jej ojczyźnie, wyrwano jej nozdrza szczypcami, aż do kości.

Gla była stara, ale silna. Miała włosy koloru nieznanego na południu, słomiano-żółte; oczy blado niebieskie smutne a chciwe, jak oczy jastrzębia; wargi cienkie, wilgotne, fioletowe, podobne do glist; ohydna płaska twarz przypominała głowę umarłego.

Zimą i latem nosiła tracką bassarę, lisią szubę, wytartą, śmierdzącą łojem; a za skórzanym pasem, w pochwie, długi, ostry jak szydło, krzemienny, ofiarny nóż. Prawie zawsze była podchmielona, piła nie wino, ale jakiś napój ze zboża, jak woda a palący jak ogień.

Mówiono, że szczególnie lubi zarzynać małe dzieci i gdy zdarzy się, że czas dłuższy nie ma dziecinnych ofiar, zakrada się do domów, niemowlętom przecina gardło i wysysa krew.

Lud jej nienawidził i rozszarpałby w kawały, gdyby nie opieka Wielkiej Kapłanki, która ją lubiła i uważała za wierną sługę Matki; gdy Dio raz spytała Akakallę, dlaczego znosi to ohydne stworzenie, odpowiedziała:

— Nie obrażaj Gli — czysta lilja, córka Ziemi Matki — cuchnąca padlina też jej dziecię. Ziemia rodzi i ziemia psuje. Matka rzecze dwa słowa: „Kocham — zabijam“, Matka ma dwa oblicza, jedno jakoby słońce — drugie jako Gla.

Dio przestraszona — przebaczyła to bluźnierstwo, sądząc, że nie dobrze rozumie. Teraz zrozumiała i już nie przebaczyła.

Gla była jednocześnie dozorczynią więzienia. Do celi mogła wchodzić o każdej porze dnia i nocy.

Wchodzi cichutko, staje opodal i patrzy milcząc, uporczywie, jakby rozkochanymi oczyma. Ohydna płaska twarz — martwy czerep — uśmiecha się; w blado-niebieskich oczach widnieje wstrętna czułość, cienkie usta — glisty ruszają się, coś szepczą, niedosłyszalnym szeptem, może te dwa słowa; „Kocham — zabijam“.

Bywały chwile, w których Dio zdawało się, że matka Anahita ma rację: „Umrzesz — nic nie uczyniwszy“. Tak, umiera, nic nie uczyniwszy.

Próżno przeciąć chciała węzeł łączący Boga z djabłem, sama się weń zaplątała.

Kogo zabiła — zwierzę czy Boga, nie wiedziała i do końca wiedzieć nie będzie. Mówiła komuś „Przyjdź!“ Ale kto On? Ani oblicza, ani obrazu, ani imienia. Jak przyjdzie? Skąd? Kiedy? I czy wogóle kiedykolwiek przyjdzie? Gdzież obietnice jego przyjścia? Czyż wszystko nie jest, jak było, od początku dni, i będzie, jako jest, do końca?

Strach mrozi jej serce: „Nie przyjdzie!“ Strach nieprzytomny — chyba zwarjować, uwierzyć, że matka — to Gla.

IV.

Wesel się czysta dziewico
 Gotuj weselne leże!
 Żar niebieskiego gniewu
 Niech od miłości cię strzeże.

śpiewały kapłanki prowadząc Dio na stos, ubraną w białą szatę z wieńcem szafranowych kwiatów, jak niegdyś Eoja.

Przez wąskie, ciemne schody, wykute w skale, doszły do drugich, zewnętrznych schodów, jasnych, zalanych światłem księżyca, wiodących od bramy lwów na płaski szczyt wzgórza, gdzie znajdował się ołtarz ludzkich ofiar.

Na czystym bezgwiezdne niebie, księżyc płonął prawie oślepiając. Profil Karejskiej góry, błękitniejący w miesięcznej mgle, przypominał odwróconą ku niebu twarz umarłego Boga — olbrzyma — Aduna.

W czarnym wieńcu cyprysowych gajów, białało, błękitnawo miasto — zamek, mieszkanie Boga-Byka, Labirynt.

W dole, u podnóża góry, w zatoce Knossos, jak las czerniały maszty i żagle, a po kraj horyzontu lśniła na morzu księżycowa, srebrna droga.

Dio chciwie patrzyła na morze, chciwie wdychała świeżość morskiej soli, słuchała ryku przypływu, i żal jej było morza, nieba, ziemi, słońca, którego już nie zobaczy, żal całego smutnego życia ziemi.

Za wszystkim płakało jej serce, jak płacze dziecko od piersi matki odłączone.

Powoli kroczył pochód po schodach w podwójnem świetle, srebrnem miesiąca i krwawem pochodni. Fala czarnych głów kołysała się poza świętym ogrodzeniem, gdyż do wnętrza nie puszczano nikogo. Nagle tłum ujrzał pochód i wołał oszalały:

— Raduj się, raduj się!

Z krzykiem tłumu zlał się ryk trąb, trytonowych konch, pisk fletów, grzmienie tympanów i pieśni kapłanek.

Na kamiennym ołtarzu, z głębokiem wydrążeniem wewnątrz, rozłożono niski stos z bardzo suchych, smolnych drzew, sosen, cyprysów, mnóstwa gałęzi, pakuły i innych palnych materiałów, przesyconych aromatycznymi olejkami, że wystarczy przyłożyć ogień z jakiegobądź końca, a odrazu zapłonie olbrzymia pochodnia. Kapłanki przyprowadziły ofiarę i rozebrały ją do naga. Poczem przyniosły i położyły na ziemi u jej stóp, wielki, z dwóch dębowych desek zbity krzyż. Gla podeszła do niej i rzekła:

— Połóż się!

Dio uklękła, ale nie wiedziała, jak się położyć. Gla rzuciła ją na wznak i położyła plecami na krzyżu, wyciągnęła nogi, wyprostowała ramiona. Stopy przywiązała do dolnej części deski, a ręce do dwóch końców poprzecznej: owinęła w pasie sznurem i oploła nim końce deski zawiązawszy z tyłu w mocny węzeł.

Dwanaście kapłanek, po trzy z każdej strony, podniosły krzyż i postawiły go na stosie.

„Oto co znaczy krzyż“ — pomyślała Dio.

Wiedziała o tem, że stosu zaraz nie podpala, dopiero o pierwszym brzasku słońca. Wedle księżyca

obliczyła, że do wschodu jeszcze pozostało trzy godziny.

Trzy godziny — trzy wieczności; serce rwało się na dwoje, a nie wie, która z dwóch połówek jest prawdziwa. Huśtała się niby na olbrzymiej huśtawce, to wlatywała, to opadała i nie wiedziała jak w końcu wypadnie: „Przyjdzie — nie przyjdzie!”

Noc była świeża. Ktoś się ulitował i rzucił na jej plecy skórę jelonka. W ciało wpijały się sznury, ostre jak noże. Palce i nogi zdrętwiały. Krew uderzyła do skroni. W głowie kręciło się, mdliło od mdłych zapachów — polano odurzające kadzidło, żeby uśpić cierpienie ofiary.

Dio przypomniała sobie jak przed chwilą na schodach, jedna z kapłanek szepnęła jej na ucho: „Nie bój się, żywcem cię nie spalą”. Zrozumiała, z nim spalą — zarzną. I teraz pomyślała: „Straszną rzeczą jest spłonąć żywcem w ogniu, ale już i to lepsze od noża Gli!”

Gla krążyła nad nią, jak kruk nad trupem. Płaska twarz — martwy czerep — uśmiechała się, w bladoniebieskich oczach lśniła ohydna czułość, mokre wargi — glisty ruszały się, szeptały: „Kocham — zabijam”.

Koniec krzemienno noża — szydła przykładała do serca, delikatnie, delikatnie kłuła i występującą kropelkę krwi chciwie zlizywała językiem.

Dio krzyknęła i przyszła do przytomności. Nikogo nie było, tylko księżycowe niebo błękitniało nad nią, jak nigdy jeszcze dalekie, jak nigdy jeszcze — bliskie. Czarny strach szaleństwa już ją ogarniał, za chwilę straci rozum i uwierzy, że Matka to Gla.

I znów huśtała się na straszliwej huśtawce, to

wlatywała to opadała „Przyjdzie — nie przyjdzie“, Przyjdzie — nie przyjdzie!”

Nagle zerwała się, upadła na dno czarnej przepaści błagając — „Przyjdź!”

I On przyszedł.

Krzyż pod nią zadrżał, podniósł się. Ktoś rozwiązywał sznury na jej ciele. Jeszcze nie wiedziała kto to, ale odważyła się otworzyć oczy. Otworzyła, zobaczyła i krzyknęła:

— Tammu!

V.

Ocknęła się w lektyce Tutu. Poznała ją po hieroglifach i malowidłach. Słoneczny dysk boga Atona, z rozpostartymi rękami — promieniami błogosławił króla Egiptu, Akhenatona.

Nosze stały na ziemi. Zenra otulała ciało Dio w złocisto-żółtą, w srebrne pszczoły haftowaną tkaninę. Tammu pochylony nad nią coś szeptał.

Długo nie mogła go zrozumieć — w końcu zrozumiała, spytała:

— Ty mnie ocaliłeś Tammu?

— Nie, nie ja, a On.

— Tak, On a ty z Nim. Jak to uczyniłeś?

— W imieniu króla Egiptu uprosiliśmy z Tutą króla Idomina, żeby zmienił wyrok.

— Króla Idomina? — dziwiła się i pokręciła głową. Król nie mógł tego uczynić. Nikt nie mógł, prócz Wielkiej Kapłanki...

— Wielka Kapłanka umarła, a nowej jeszcze nie wybrali. Król mocą swej władzy mógł...

— Nie, nie mógł. Dlaczego nie mówisz prawdy? Chcę wszystko wiedzieć.

— Tutaj czeka w przystani. Wszystkiego się dowiesz, teraz trzeba się spieszyć. Co prędzej na okręt, do Egiptu.

— A ty? Co będzie z tobą? — spytała.

Milczał. Podniosła się, położyła rękę na jego ramieniu, przybliżyła twarz do twarzy, zajrzała w oczy i nagle wszystko zrozumiała. Znała prawa rządzące na Górze: ofiarę ludzką wybawić tylko można dając wzamian inną — ciało za ciało — duszę za duszę. Ale uczynić tego nie może ani matka, ani ojciec, ani brat, ani siostra, ani mąż, ani żona, jedynie obcy człowiek, tak kochający, że gotów umrzeć za umiłowaną istotę. Dobrowolna ofiara miłości — najświętsza ze wszystkich — woń Panu miła.

— Tammu, bracie mój, wiem wszystko; ty umrzesz za mnie! — szepnęła, nie odrywając od niego oczu.

— Tak za ciebie i za Niego, — odpowiedział z prostotą. Pamiętasz jak go przeklinałem a ty rzekłaś: „Wkrótce zobaczysz, że go kochasz“. I to zobaczyłem.

— „Temu kto zło ci uczynił — płacć dobrem“ szepnęła z zachwytem i strachem.

— Nie, Dio tyś mi nic złego nie uczyniła. Niech będą błogosławione męki mojej miłości! Nie ja ci płacć dobrem za złe, ale ty mnie. Pamiętasz, gdy ci powiedziałem, że zabiłem Eoję, tyś odparła: „Nigdy nie przestaniemy kochać jedno drugiego“. O, daj mi, daj mi umrzeć za Ciebie i za Niego!

Płakał. Nagle uśmiechnął się przez łzy.

— Jestem kupiec, umiem rachować, wiem gdzie zysk. Lepiej mi umrzeć niż żyć; życie nas rozłączyło, śmierć połączy.

— Nie mogę, nie mogę, nie mogę, — jęczała

łamiąc ręce. Jeżeli żyć, to zabić ciebie — nie mogę żyć, nie chcę!

— Nie chcesz? Wołałaś Go: „Przyjdź!“ a gdy przyszedł, przyjąć nie chcesz? Dio, siostrze moja, ukochana moja, czyż nie wiesz że On jest tu, teraz, między nami? Nie ja mówię do Ciebie a On, trzeba żeby On przyszedł!

Znów słysząc było krzyki tłumów. Przed chwilą gdy zdejmowano ofiarę z krzyża, rozwścieczona Gła wybiegła za święte ogrodzenie, wołając „zabierają ofiarę“ i zbuntowała lud.

Naczelnik straży pobiegł do nubijczyków.

— Prędzej, prędzej, śpieszcie się do przystani na okręt! Ani chwili dłużej nie może tu zostać.

Matka Anahita podeszła do Tammu.

— Synu mój, godzina twoja wybiła. Bóg żąda ofiary. Jesteś gotów?

— Jestem gotów — odpowiedział Tammu.

Nubijczycy podnieśli lektykę. Dio wyciągnęła rękę do Tammu. Objęła ją i tak gorąco pocałowała, że potem, już na stosie, przypomniał sobie ten pocałunek i pomyślał: „Tak, za to warto umierać“!

Szybko oddalała się lektyka. Tammu patrzył za nią w ślad, a gdy stracił ją z oczu, obrócił się do Anahity i rzekł:

— Pójdziemy!

Włożyła na niego, zdjęty z głowy Dio wieniec szafranowanych kwiatów, i zaprowadziła na stos.

Zobaczył u stóp swoich krzyż. Zdejmując odzież, napotkał na piersiach koralową tabliczkę — talizman z napisem „Ab vad“, pocałował ją i szepnął: „Ojciec jest miłością“!

Położył się na krzyżu.

VI.

Dio dopiero na okręcie przysła do siebie. Leżała w kajucie Tutankhamona z sykomorowego drzewa złożonej i malowanej. Przy budzącem się w świetle zorzy zobaczyła ten sam obraz co w lektyce: słoneczny krąg Boga Atona, błogosławiący króla Akhenatona, rękami-promieniami, trzymającego krzyże Życia. W myślach połączyła te krzyżyki z krzyżem na którym niedawno leżała, a na którym leży teraz Tammu.

Z długiej przystani w Knossos wpływało na morze, jedne za drugimi, jak stado łabędzi, sześć korabiów, trzy egipskie, dwa kreteńskie, straż honorowa posła i jeden napełniony żelazem Tammuzadada, dla króla Egiptu za zbawienie Dio.

Wiatru nie było, zwinięto więc żagle. Ale razem podnosiły się, razem opadały wiosła, błyszcząc wilgotnie w blasku zorzy, jak macki morskiego potwora i okręty szły szybko włócząc za sobą po bieli morza, prawie równie jak niebo opalowo-różanem, dwie błękitne bruzdy.

Na różanem niebie, słoneczno-biała lśniła gwiazda miłości Jego — Jej gwiazda.

Młodzieńca-dziewicy, Aduna-Ma. Góra Ida jeszcze w dole sina była nocna i drzemiąca; ale już różowiał śnieżny jej szczyt.

Na skraju nieba i morza rozjarzył się rdzawy węgiel, zaokrąglił się w koło ogniowe, rozsypały się promienie wschodzącego słońca i gwiazda miłości przy nich zagasała.

Poranny wiatr wydał żagle i pod śrubą okrętową zaszumiały, zadźwięczały, zapieniały się ciemno-fioletowe fale.

Engur, syn Nurdagana, pasterz owiec, którego piosenkę o śmierci Tammuza słuchała niegdyś Dio, — jechał na jednym z nią okręcie. Zenra wzięła go ze sobą na pamiątkę Tammu.

Zenra mówiła mu o śmierci pana, ale zdawał się tego nie rozumieć, pozostał niewzruszony, zgoła już stracił rozum.

Nagle strażnik z wyżyn masztu zawołał:

— Ofiara płonie!

Ukazał na kłęby dymu, idące ku niebu ze szczytu ugóry na które stał ołtarz ludzkich ofiar. Wszyscy patrzyli.

Popatrzył i Tuta, westchnął, pomyślał: „Biedny kupiec! Mądry był człowiek a zginął za nic“. Ale wkrótce uspokoił się, przypomniawszy sobie, że za cenę jego śmierci zbawiona została tancerka Dio, perła Królestwa Mórz, bezcenny dar dla króla Egiptu.

Engur patrzył długo, nic nie rozumiejąc. Nagle zrozumiał, zawył straszliwie, jak pies po nieboszczyku.

Dio posłyszała wycie, wyskoczyła z łóża, popatrzyła przez okno kajuty i coś, niby nóż Gli, przeszło jej serce. Ale przypomniała sobie; „Tak stać się musiało, żeby On przyszedł“ i stępiło się ostrze noża. Wiedziała, pewnie jak nigdy dotąd, że On przyjdzie.

Doświadczeni kreteńscy marynarze przepowiedzieli, że w czasie porównania dnia z nocą podróż będzie niebezpieczną. Ale Tuta nie wiedział co niebezpieczniejsze, ziemia czy morze; przestraszyły go podziemne grzmoty a także pożar areny.

Pożar szybko ugaszono; ale zbudziwszy się nagle pewny, że zobaczy cały pałac w płomieniach, omal oknem nie wyskoczył.

A w ostatnich dniach przyszły wieści, że z północy idą nieprzeliczone hordy Achajów, Danajów, Dardanejów, Iljonów, Pelazgów i innych pół dzikich

plemion, mówiono, że ich prowadzi przeciw królowi Idaminowi Sarpedonim wygnaniec, brat przeciw bratu. Przypomniał sobie Tuta prorocstwo: „Przyjdą w nocy Żelazni Ludzie i będzie noc żelaza, koniec wszystkiemu“. Nie wiedział jak uciec z tej przeklętej wyspy.

Król Utuks-Odys płynął z Krety do Egiptu pięć dni:

Płynęliśmy gnani chłodnym lecz sprzyjającym Borejem Morze tak lekko jak konno; weseli byliśmy, dzielni Nasze okręty słuchały lecąc i wiatru i steru Po pięciu dniach do Egiptu, do srebrno-wargiej ich rzeki Przybyliśmy...

Nie taką była podróż Tutankhamona. Zaledwie okrążył północno-wschodni przylądek wyspy — Brito-martis-Samonion, gdy spotkały się dwa przeciwne wiatry i rozpętały burzę.

Korab Tuty z silnego dębu i cedru, dwumasztowiec o bokach spadzistych zwinny, długodziuby, prujący dobrze fale, prowadzony przez pięćdziesięciu wyborowych wioślarzy, wytrzymał burzę lepiej od innych. Ale Tuta upadł na dachu i złożył obietnicę Atonowi — Amonowi, iż póki żyw nigdy nie puści się na Bardzo Zielone.

Przez sześć dni nie widać było ani słońca, ani gwiazd, żeglarze nie wiedzieli gdzie ich fale poniosły. Dopiero siódmego dnia burza zcichła, ukazały się brzegi Chanaan-Filistynji.

Zatrzymali się w porcie Gezer, ale nie na długo, gdyż w pobliżu grasowały szajki rozbójników Khabirskich.

Właśnie niedawno Jaszuja-Jozue przekroczył był Jordan i zajął Uruszalim — gród Boży.

Opuściwszy Gezer zawinęli do Askalonu, portu bardziej pewnego, gdzie stał oddział egipski. Tu ich

dognał drugi okręt Tuty, trzeci zginął bez śladu; dwa okręty kreteńskie, jak się potem dowiedziano, oparły się o brzegi Alaszi-Cypru. Co zaś do tammuzadowego z żelazem, ten rozbił się o podwodne skały u przylądka Karmil-Nos Gazelli.

W Askalonie przebyli cały miesiąc, naprawiali okręty i czekali pomyślnego wiatru.

Przyszły na koniec alcjonowe ciche dni poprzedzające zimę, gdy Bóg Welhan, bóg-mórz, trójnogiem ugładza fale, żeby czajki mogły siedzieć na jawkach w swych pływających gniazdach.

W trzy dni po opuszczeniu Askalonu zobaczyli wyspę Pharos, o której tak się śpiewa w Odyssowej pieśni:

Na bystro-szumnem morzu jest wyspa, co leży naprzeciw Egiptu, a którą zowią mieszkańcy wyspy tej Pharos — Od brzegów ostrow ten leży na takiej odległości Jaką przebiega w dzień statek, gdy wiatry pomyślne [wieją —

Nie zawijali do przystani, minęli kierując się na południe.

Był szary dzień. Mrzył deszczyk. Ciche, ciepłe krople spadały jak łzy. Morze było gładkie jak lustro, mętno-zielone, już pomieszane ze słodką wodą Nilu.

Siedząc na dziubie okrętu, na sznurach, Dio słuchała pastuszej fujarki Engura. Na drugim końcu okrętu grał on i śpiewał tęskliwą pieśń, o Bogu-Tammuzie.

Płaczcie Tammuza, płaczcie go dalekiego.

Matka i koźlę upadły zarzniete

Owca-Matka i jagnię upadły zarzniete!

Płaczcie więc syna, płaczcie go ukochanego!

Słuchała i ciche łzy płynęły jej po twarzy, nie wiedziała sama z radości czy też ze smutku.

Wspominała całe swe życie, jak sen, albo może jak życie wspominają umarli: Jol, Efran, Eoja, Tammu — tyle ofiar! Po co? Teraz już wiedziała po co, żeby On przyszedł. Matka Ziemia w mękach porodu — ludzkich mękach, rodzi — Boga!

Nagle na horyzoncie ponad Bardzo Zielonem ukazał się ozłocony słońcem, wąski jeszcze pas żółtej ziemi.

Dio zapytała sternika:

— Co to?

Odpowiedział:

— Egipt.

Koniec.



11638

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



11638